[illegible] ~~G. Daniłowski~~

1. Gustaw Daniłowski.

Za ścianą.

Cela Janusza Tarczyńskiego mieściła się w narożniku najwyższego piętra. Taka sytuacja numeru miała swe dodatnie i złe strony.

Dodatnią był względnie szeroki widok z za krat okna na okryty darnią fort, skrawek pola, spory łuk nieba i czuby dalekich drzew.

Złą - utrudniona komunikacja z resztą gmachu: jedna bowiem ściana była szczytową, nad sufitem - strych, na dole - jakiś składzik, a przyległa cela - jedyny łącznik ze współtowarzyszami - stała od dawien dawna pustką.

Był więc odosobniony zupełnie i ten brak stosunków, które wyrażają się u więźniów przeważnie pukaniem do siebie przez ścianę, potęgował niezmiernie poczucie osamotnienia i jakby zupełnego wycofania z obiegu życia.

-Dobrze się trzyma człowiek zamurowany dokładnie!-

-Ścierwo nasze konserwuje się ~~dobrze~~ zdrowo jak sardynka w zalutowanym pudełku!...-

-Ryby i więźniowie głosu nie mają!-

Tworzył od czasu do czasu okolicznościowe - jak nazywał - aforyzmy i rył na wieczną rzeczy pamiątkę w tynku muru.

Była to jedyna jego umysłowa rozrywka; zdobyte bowiem niegdyś z radością książki przestały interesować ~~go~~ zupełnie, wyprocesowany z trudem atrament, pióro i papier leżały bezczynnie - zajmowały go jeszcze nieco ilustracje starych tygodników, czyli [illegible] obłoków

na niebie, ale oddałby to wszystko za szelest żywej istoty, za ścianę, za łoskot kroków niewidzialnego człowieka.

Ale ściana była martwa, i nieraz gdy pukał, by nie stracić wprawy, wywołane z niej głuche echo wzniecało lekki chłód w sercu i mrowiące [illegible] korzyra uczucie, jakby się dobijał do wieka zasklepionego nad trupem grobowca.

Złudzenie to było chwilami tak silne, że go strach chwytał za włosy i lepiły się w mózgu przeraźliwe obrazy w męce pochowanego tam życia, przesuwały się przed oczyma fantastyczne widma krwawych tajemnic starych kazamat.

Czasem potem rozsypywała się w proch dźwignięta pracą ducha twierdza męstwa, pobielałą twarzą rzucał się w poduszkę i płakał zalewającemi palącemi łzami, gorzkim, zachłystującym się z trwogi i żalu i pokrzywdzenia szlochaniem zamkniętego w ciemnym pokoju dziecka.

Lecz tych i wstydził się i lękał.

Znał bowiem przykłady, jak w takich chwilach rozprzęgała się na nic, miękła na mokrą szmatę niejedna dzielna dusza, jak z momentów zachwiania się zrodziły się grozy, nieszczęśliwe i często występne ruiny mężnych na wolności ludzi.

Czuł instynktownie, że stokroć łatwiej jest zaglądać śmiało w oczy żywego niebezpieczeństwa, niż w próżnię, umarłe nic; a bardzo bliskiem nicości stawało się w tych czasach jego życie.

Nachodziły nań długie godziny, szeregi dni kompletnej apatji, całkowitego zleniwienia wszystkich władz duszy, jakby zaspania się na jawie, w którym

realne przedmioty przybierały kształty dziwnych widziadeł, a nadbie myśli wypełzały z rozgwieżdżonego mózgu w postaci błędnych mar, włóczących się bez sensu i celu.
Czasami mózg budził się gwałtownie i wszystko w nim się zrywało, jak wypłoszone obcą siłą z gniazd ptactwo.
Zaczynał biegać gorączkowo od ściany do ściany z wichrem w głowie, z nawałnicą wzruszeń i wrażeń.
Pomysły, tematy, obrazy, postacie, kształty, całe djalogi, dramatyczne konflikty, płomienne, erotyczne sceny wypychały mu czaszkę po brzegi, wydobywały się na zewnątrz, napełniały mozajką barw, chaosem głosów, tłumem osób zaciasną na przyjęcie tylu gości celę. Wszystko to się skłębiło, splątało, przewalało w polu jego widzenia i w końcu stłaczało w bezkształtną masę, zbijało w miazgę rozkładającej się w oczach szarej materji.
Wreszcie znikało, i w głowie pozostawał jakby czad spaleniny, para mgły i swąd gęstego dymu.
- Wygryźli mi tym wapnem talent - szeptał zeschłemi wargami do bielonych ścian.
- Obskubali żywcem z piór - mruczał z ~~wściekł~~ wściekłością, i mściwa nienawiść rozjątrzała mu serce.
- Wytrawiam się z wrażliwości nosić - to może i dobrze - rozmyślał - wyjdę twardy i goły, jak kamień, jak osełka, wyostrzę się jak brzytwa...
- Zerfał ślamazarny sentymentalizm i tym podobne humanitarne dyrdymałki będę golił bez pardonu i kwita!..

Ale tego rodzaju pociechy nie przynosiły
ulgi - nie goiły, lecz rozdrażniały duszę, niby
synapizmy kładzione na rany; jedynym
zyskiem była hartująca się w tym ogniu
moc protestu, wzrastanie wytrwałości na
wszelkiego rodzaju szturmy, które odpie-
rane zaciętym milczeniem stawały
się coraz rzadsze, a od kwartału ustały
zupełnie.
Zaczęły się miesiące absolutnego spokoju,
jakby zupełnego zapomnienia o jego
egzystencji. Zjawianie się milczących
szarych postaci z posiłkiem o ściśle
regulaminem oznaczonych godzinach,
pewne automatyczne obrządki więzienia
nie męczyły, ale raczej zdawały się
potęgować monotonję i ciszę.
Czas zwolna zanikał, ograniczało się po-
czucie przestrzeni, a gdy stoły marcowe
zawlokły jedyną przeźroczystą szybę
w matowych oknach - Jamesa, rzec można,
zwinął na pewien czas warsztat życia.
Urządził sobie lokaut i strajkował.
- Niema mnie - zdecydował i przestał być.
Wylegiwał się godzinami na łóżku,
zjadał machinalnie co mu dano,
W dzień wpatrywał się w plamę kopcia
na suficie, a wieczorem w płomyk
lampki, aż zahipnotyzowany wątłym
światełkiem nieznacznie zasypiał.
Czasem tylko przewinęła się wątła
jakaś myśl, z obu końców urwana
bez premissy i konsekwencji, mięgotło
nie budzące wrażeń wspomnienie
przepłynęło pod powiekami
mętny powidok, następowała
jakaś drobna przemiana w nastro-

już ucisné, chybocące się serca tak słabe
jak drgnięcie skrzydeł motyla.
Pauza ta ciągnęła się dość długo, aż któregoś ~~dnia~~ ranka założył protest przeciw tej bezczynności letargicznej żywy promień słońca.
Janusz śledził przez obwisłe rzęsy przenikającą na ukos całą złotą strugę, która to się rozwidlała w oczach, to znów ściągała w drgającą strunę otoczoną wibrującymi cętkami jasności i żółtawym pyłem.
- Pogoda - pomyślał, ubrał się bardziej ochoczo niż zwykle, by wychylić się przez lufcik. Słonecznie jaśniało przejrzystym błękitem pociągnięte niebo, dali pola lśniły aksamitną zielenią. Dalekie czuby drzew stały jakby otoczone świetlistym obłokiem - poznał brzozy pokrywające się młodym listowiem.
- Wiosna - wyszeptał - znowu wiosna!..
i zamyślił się o tej ostatniej spędzonej na wolności, która miała dlań szczególne znaczenie.
Krwawe zapasy na dalekim wschodzie, których przebiegi śledził z zapartym oddechem, powszechne podniecenie i jakby głuche drganie gotującej się do wstrząśnienia ziemi - przekształciły go tamtej wiosny szybko i gruntownie.
Drzemiący zwolna w apatji, wciągający się w gnuśne życie prowincjonalnego zakątka młody wykolejeniec, ocknął się odrazu.
Te iskry, które błysnęły w ~~źrenicach~~ oczach gdy wysyłał pierwszy telegram o nocnym ataku na pancerniki

przebiegłych wypisany nie zagasły w ciemno-
orzechowych źrenicach, ale jakby się utrwali-
ły na stałe w postaci jasnego płonienia.
Niezwykłe uczucia, których wówczas doznał
osiadły w jego duszy i bytowały ciągle, niby
sploty mocno naciągniętej sprężyny.
Obecność ich sprawiała wrażenie nabrzmiewa-
jącej tęgości, ustawicznego napięcia wszystkich
władz duszy, wewnętrznego rozmachu, nagłego
spotęgowania życiowych sił, z którymi kiełku-
jący w nim talent rozkwitł i nabrał
wysokiego polotu.
Dawno zamarzona powieść, majacząca
przedtem w mętnej mgle, widziane
jak przez muślin postacie i obrazy
nabrały nagle żywych barw i wyrazu.
Całość skrystalizowała się w spoisto-
przejrzystą-artystyczną koncepcję i ni-
by wirem porwany, znalazł się w takiej
sytuacji wrażeń i wzruszeń, których
nastrój i ton nadawało przyspieszone bicie
jego serca. [Lenny żyą w życie, gdy naste-
wała noc - w obłokach papierosowego dy-
mu, zapamiętawszy się w sobie na amen
z wypiekami na twarzy, z gorączką
w skroniach, niby naglony obcą siłą
do pośpiechu, nie mogąc nadążyć za
impetem ~~rosnących~~ rwących uczuć i myśli
wyrywkami słów pisał i pisał, dozna-
jąc tego podniosłego wezbrania duszy,
jakie daje poczucie twórczej mocy
i pełna tajemniczych, bezimiennych
wzruszeń godzina natchnienia. -
Czuł, jak z jakichś niewiadomych
kiełków wyobraźni, z tajemnych
skrytek intuicyjnych spostrze-
żeń, z nieznanych źródeł wra-

dzonej mądrości wydawało się wszystko samorzutnie, jakby za podszeptem bujającego nad głową anioła o szeroko rozpiętych tęczowych skrzydłach, a zapadniętych w nieskończoną dal marzących oczach i smutnym obliczu, podobnym do prześlicznych rysów rozpromienionej miłością cudownej dziewczyny.

Doświadczał radości oskrzydlenia, subtelnych drgań głębokiej tęsknoty i jakby zamierania serca z żałosnej rozkoszy.

Takim go zastawał nieraz biały świt, i zbudzony świegotem ptaków błędnymi oczyma, nie rozróżniając dokładnie przedmiotów, rozglądał się po sinym od papierosowego dymu niskim ~~wąskim~~ pokoju, który mu się wydawał wówczas czarodziejską grotą.

Poznawał gdzie jest, rozumiał, że lampa gaśnie, odrzucał w tył wichry ciemno-blond włosów i wychodził na ganek.

Roztaczający się stąd szeroki pejzaż wydawał mu się nieraz w pierwszej chwili, jakby dalszym ciągiem poetyckiego widzenia, nierealną rzeczywistością, ale wizją imaginacji.

Drżąc ze wzruszenia, patrzał w czarowne misterjum wydzierającej się na świat bujnej wiosny.

Wygona, wzgórza wybuchały świeżymi pędami, młodą zielenią rozrośniętych gęsto krzaków. Nad nimi jak wytryski światła wznosiły się białopienne brzozy; pysznił ~~przyozdabiał~~ się rozpęknięciem świeżych drobnych liści rozochatej lipy, jaśniały złote klony, szumiały pod niebem korony dębów, ~~nisko~~ nad strumieniem szemrały srebrem podłe poszycia wierzbiny.

8.

Po pochyłościach, jak korowody ślubnych dziewic, śnieżną mgłą owiane schodziły orszaki tarniny ku kasztanowi, ustrojonemu w białe kiście, niby w lampjony.
Gdzieniegdzie czerwieniły się pnie i szczyty drzew iglastych – pikiety wystrzelonych wysoko sosen tęgiego boru.
Świeża trawa dyszała rosą i zapachem ukrytych fijołków, które rosły obficie na stokach wzgórz.
W rozwartej dolinie rozsiane domki, ustawione w szeregi sadyby, z tej odległości sprawiały wrażenie zabudowań schludnych i powabnych.
Około nich i jeszcze niżej ciągnęły się sady tak rozkwiecone, że zdawało się, iż to nie drzewa, lecz bujające w powietrzu roje białoniebieskich motyli.
Wysadzona sokorami szosa błyszczała, jak blichowane płótno – wzdłuż niej płynęła majestatycznie szeroko rozlana Wisła.
Na wodnej pustoszy chodziły błyski czasem tak ostre, jak wyrzucone z głębi fali obosieczne miecze, to znów łagodne, jak połysk dojrzałego lnu, lub oka oliwy.
Za nią leżały rozdzielone płaszczyzny korzących się miękkim oporem łęgów, role pól idącego w ~~ta~~ kłos zboża. Na kresach majaczyły sine frendzle lasów coraz mniej wyraźne, stapiające z linją odległego horyzontu.
Powietrze było upajające jasne i przeczyste niebo modre, wysokie i uśmiechnięte jak promienne oczy młodości.
Dzwoniły w niem radośnie skowronki, ścigały się gzygzaki jaskółek, wisiały się klucze ciągnącego na łąki ptactwa.
W zenicie szybował jak żagiel szeroko rozpięty perłowy obłok, bliżej widnokręgu

marszczył się inny drobno sfałdowany, podobny do stada tulących się ku sobie baranków.
Równie jeb zaświecał szybko podnoszący się płomienno-różowa tarcza słońca.
Janusz patrzał zachwyconemi oczyma i jakby tulił w ramiona ten widok z własną infrością, że tak piękna ziemia musi się stać siedliskiem szczęścia.
Burzyło mu się serce na myśl o tym, że jest inaczej, wprost przeciwnie i zamiar harde jej ruszczyć, z upadku podźwignąć stawał mu się przekonaniem, już nie formułą programu, ale namiętną żądzą.
To też skoro skończył absorbującą go pracę, nim przebrzmiał zyskany nią rozgłos, przekonany, że „czas uderzyć w strunę drugą, w czynów stal", z całym entuzjazmem rozognionego ducha wyruszył zdobywać to szczęście...
I oto na widok mizernego skrawka, tęskniącej się ziemi zadrgały w nim nagle wspomnienia szczęśliwych wzruszeń, których doznał w ciągu dwóch lat pełnego, natężonego na niepowszednią wiarę życia.
Szarpnęła go tęsknota odzyskania dawnego impetu uczuć, wzdęły się piersi pragnieniem lotu i zbuntowany do głębi począł pragnąć po celi.
Chodził szybko z kąta w kąt wymachując rękami z podaną naprzód głową, jakby miał zamiar mur czołem rozwalić.
Ruch stawał się dlań fizyczną niepohamowaną potrzebą, coś go jakby gniotło, porywało, każdy nerw, każda tętnica zdawała się nie znosić spoczynku

Kuły jak młoty wszystkie pulsy, coraz prędzej, coraz prędzej jak by podżegające do pośpiechu.

Tłukł się jak rozkiwane wahadło od ściany do ściany, usiłując napróżno gorączkową gestykulacją nadążyć za wszystkimi obrotami myśli, które wirowały w głowie jak wezbranym prądem wody napędzany młyn.

Żyły mu wystąpiły na skroniach, nabrzmiały muskuły – ~~pod~~ ~~...~~ naprężyły się w nim ~~...~~ dzikie chęci: potłuc meble, zrobić nieoczekiwaną awanturę, pobić do krwi strażnika, zgwałcić kobietę – ~~rozdęły~~ zamigotały mu się nagle w oczach ~~latały~~ czerwone plamy; i gdy był już bliski szału, poczuł, że opada napięcie energii, rozkołysane serce się uśmierza, wzburzona krew wraca w normalne łożyska.

Zaczął chodzić wolniej, regularnym, mierzonym krokiem, słyszał wreszcie miarowy łoskot własnych stóp, z których jęły powstać jak by echa cudzego ~~chodu~~ stąpania.

Przyjął to z początku za zwykłe słuchowe złudzenia, których nieraz doświadczał, ale ten obcy takt zaczął chodzeniu wprost przeszkadzać, jakby wpadał pod nogi.

Przystanął, i chlusnęło mu się serce zalęknione niespodzianym wzruszeniem: z przyległej celi za ścianą szemrały płynne delikatne stąpania tam i napowrót, tam i napowrót, bez przerwy.

Wyuttelnione jego ucho rozróżniało krótkie przystanki na skrzętach i potem lekkie, drobne kroki do przeciwległej ściany i znów szurgnięcie stóp, by zmienić kierunek.
Z charakteru chodu poznawał, że sąsiad jego ~~ta kobieta~~ nie przywykł jeszcze do spacerów w ciasnej przestrzeni, lub nie oswoił się z rozmiarami swego numeru, nieraz bowiem zapędzał się nadto i musiał się wstrzymywać w półkroku, by zawrócić.
Zbliżył się, by zastukać, ale w tej chwili wniesiono wrzątek na herbatę.
- Kogo przynieśli? - spytał.
- Przynieśli, koro-nado - zabrzmiała odpowiedź.
- Aha, więc przynieśli! pomyślał Janusz i zabrał się do rannego posiłku, pozornie obojętnością maskując silne podniecenie.
Gdy strażnik się oddalił, wytężył słuch.
Za ścianą rozległo się brzęczenie naczyń, zabiegliwe krzątanie się koło śniadania.
- Jakiś porządnicki! - pomyślał, a gdy uspokoiła się ranna bieganina po korytarzach, zapukał:
- Kto?
W odpowiedzi odezwało się żywe drobne kołatanie, sprawiające wrażenie wydukiwanych gam.
Nie rozumiejąc, co ~~ci~~ to ma znaczyć, Janusz wolno dobitnie powtórzył zapytanie.
Ściana odpowiedziała w ten sam sposób.
Z ~~nierowności~~ nierówności pukania, z krótkich, lecz nieczęstych przerw, Janusz domyślił się, że sąsiad nie zna właściwego alfabetu i używa jakiegoś nieznanego mu, prawdopodobnie własnego sposobu.
Możeby się, by odkryć klucz, wreszcie po wyczerpaniu rozmaitych sposobów

nacji, gdy przyszło mu na myśl liczenie liter w kolejnym porządku odczytywać: „u-i-e-r-o-z-u-m-i-e-m".
Uradowany tym samym systemem począł objaśniać, na czym polega uproszczony więzienny alfabet.
- Opuszczając: ą, ę, ł i jotę, resztę rozstawić w pięciu szeregach po pięć w każdym. Wyryj szpilką litery na bibułce, - przerwał, przyłożył ucho do ściany i wsłuchiwał się w delikatne skrobanie:

a b c d e
f g h i k
~~l m n o p~~
~~r s t u w~~
~~x y z~~

Gdy tabliczka była gotowa, zastukał: „~~dobrze~~"
- Dobrze; pierwsze takty oznaczają szeregi, a następne po przerwie kolej litery w szeregu: rozumiesz?
Wolno z pewnymi momentami wahania rozległo się: tak!
W tej samej chwili Janusz poczuł oczy utkwione w otworze judasza, następnie zgrzytnął rygiel i w ~~przyległej~~ sąsiedniej celi rozległy się głucho gburowate słowa napomnienia.
Cela zacichła.
Janusz tymczasem pozwiedywał tryumfalnie.
- Najważniejsze zostało dokonane, reszta furda - myślał - jak dobrze słychać, ściana cienka, jak przepierzenie; może się uda

z czasem wybić telefon.
Przewrót? - Nie: znaczki [illegible] alfabet! Jakiś nowicjusz, zabłąkany, muszę go uspokoić i poinstruować:
- Nie bój się, stradny na laczy, podaj swoje nazwisko!
- K-l-a-r-a S-ł-o-t-w-i-ń-s-k-a.
Głoska po głosce wyłaniała się z murów zwiastująca wiadomość, że sąsiadem jest Kobieta.
Janusowi osunęła się bezwładnie głowa do następnych zapytań ręka, serce kołatało w takt jej uderzeń i zlekka zamarło, gdy urwała.
- Jaki lekki chód, - musi być młoda - mignęła uwaga, i zasłuchał się całkowicie w płynnych jej krokach, które sprawiały wrażenie rozlewnej harmonii nie kołyszącej się fali.
Ogarnęła go daleka zaduma, senny półzmrok i cichy żal nad nieustannym ruchem drobnych tych stóp w ciasnym zamknięciu.
Wydało mu się, że rozróżnia szelest jej sukien, kaleczących się boleśnie o węgły murów, jak skrzydła bijącego się w klatce ptaka.

~~D. c. n.~~

Kobiety wogóle były rzadkością w tym więzieniu, gdzie osadzano podejrzanych o ciężkie polityczne przestępstwa. Janusz, który znał dobrze ludzi i stosunki, gubił się w domysłach, kto to być może? - nie Stefa, nie Ola, ani Kalina - szczupły zastęp doświadczonych niewiast, które były już świadome wszystkich tajemnic więzienia, wiedziały gdzie, ~~kto~~ pod którym numerem kto siedzi i postawiłyby się hardo gburowatemu dozorcy, a nie milczały potulnie.

Imię i Tadnie brzmiące nazwisko mogło być zmyślone i nie objaśniało nic.

- Skąd? - zdecydował się zastukać po dłuższej przerwie.

Wymieniła prowincjonalny zakątek.

- Dawno tu?
- Od wczoraj, dwa miesiące w Kaluszu.
- O co?
- O należenie i współudział w...
- A więc towarzyszka! - i ujęty uczuciem szczerej sympatji wystukał swe nazwisko i pseudonim.

Po pewnej pauzie, mur jakby zadygotał ~~pospiesznie~~ ciekawie i żywo:

- Więc to pan?!
- Pani mnie zna?
- Z czytania i słyszenia.
- Proszę zażądać książek z miejscowej biblioteki, spacerów... Z restauracji obiady, wszystko, co jest potrzebne, o ile pani ma ~~pieniądze~~ monety, brać można... Radę dam w każdej sytuacji... Siedzę tu siedemnasty miesiąc, ósmy bez sąsiedztwa... dla tego tak zanudzam... - i zapominając, że przy braku wprawy tego rodzaju porozumiewanie się

męczy i wyczerpuje, stukał i stukał
- Dobrze - rozległo się, gdy przerwał, poczem w jej celi zapanował długotrwały spokój.

O zmierzchu zapytała, ~~tama~~ czy dają światło.

- Zostawiają na całą noc, wolno gasić - odparł.

Znowu zrobiło się cicho i dopiero wieczorem usłyszał jakby pluskanie wody, zrzucenie trzewików, szykowanie się na noc. Postanowił pójść za jej przykładem i, gdy był już w łóżku, zastukał dyskretnie
- dobranoc!

- Dobranoc - odpowiedziało mu tuż nad głową. Poznał, że stuka w pozycji leżącej i że jej posłanie jest tuż obok za ścianą.

- Dobranoc Jasna - tłumacząc jej imię szepnął w mur i, patrząc w ciemność kamery, myślał, że jej nazwisko przypomina słodycz i wino, że musi to być jakaś mocno sympatyczna dziewczyna delikatnej budowy i smukłej, sądząc z chodu, postaci. Przypominał sobie niby melodję, rytmiczne takty jej stąpania i z subtelnym uczuciem wewnętrznego ukołysania począł zasypiać.

Skoro Klara nabrała wprawy w pukaniu, porozumiewanie się przez ścianę odbywało się łatwo i dorównywało szybkością tokowi zwyczajnej rozmowy.

Ściana szczebiotała ~~szybko~~, prędko niby aparat telegraficzny. Nie brakło też różnych sposobów skróceń, nieraz jedna sylaba wystarczała za słowo, początkowy wyraz za zdanie

Klara ustępowała w sprawności Januszowi, który posługiwał się wyuczonym językiem z doskonałością mechanizmu, ale posiadała za to jakiś dziwny talent nadawania głuchym kołataniom pewnej intonacji.

Mur pod jej palcami, jakgdyby nabierał zdolności brzmienia, przez co jej stukanie grało odcieniami, jak dźwięczne słowa, osiągało modulacje, przypominające akcenty żywego ~~słowa~~ głosu. Dotykany jej ręką kamień zdawał się ożywiać, przejmował się wibracjami wzruszeń.

Janusz podziwiał ten, jak go nazywał, sekretny dar sąsiadki, nieoceniony dlań skarb, przez który otrzymywał wrażenie prawdziwej ustnej rozmowy, co po długim osamotnieniu stawało się źródłem wysokiej rozkoszy.

Nabożeństwo, jakie Klara żywiła dla głośnego w literaturze nazwiska Janusza, spotęgowane wyjaśnieniem pseudonimu wysokiej rangi, utrudniało początkowo stosunek.

Dziewczyna czuła się skrępowaną, a nawet nieco strwożoną bliską obecnością tak znakomitego w jej mniemaniu człowieka, nie śmiała go niepokoić i doznawała silnego zażenowania, gdy wypadło odpowiadać na jego pytania.

To też narazie rozmowa krążyła wyłącznie około sprawy.

Janusz pouczał, jak zachowywać się na śledztwie, podsuwał zręczne pomysły wyplątania się z trudnej sytuacji i wreszcie tak doskonale rzecz całą ułożył, że perspektywa wyprzeczenia się zeznań stawała się

zupełnie prawdopodobnym.

Zmuszona siłą rzeczy do szczerych wyznań w sąsiedztwie, Klara szybko oswajała się z osobą sąsiada, wchodząc z nim w coraz swobodniejszy, zaczyt... wreszcie pełen serdecznej ufności stosunek.

Współdziałał temu zakonnicze prawdy, sympatyczny sposób bycia Janusza, wesoły, żartobliwy ton, który, zbudzony nagle pod wpływem wiosny i bliskości uroczej osóbki radością życia, stał się stałym jego nastrojem.

Nazywał ją od imienia „Jasną", gdy zaś dowiedział się, że rodziców nie ma, „z krewnymi zerwała, nadał jej przydomek „Sierotki".

- Jak Sierotka spała? - pytał ją zwykle na dzień dobry.

- Doskonale! -

- A co się śniło? pewnie coś jasnego?

- Dla czego jasnego?

- Bo jasnowłosej główce!

- Skąd pan wie!?

- Domyślam się: Jasna nie może być czarną.

- Właśnie, że jak .. smoła ...

- Sosnowa - złota żywica, ślicznie niby bursztyn ...

- Starała się zmienić kierunek rozmowy.

- A pan jak ~~spał~~ noc spędził? -

- Szczęśliwie, choć położyłem się o świcie.

- Bezsenność?

- Nie, coś innego, lepszego, co nawiedza mnie z celi sąsiadki: natchnienie ... A już myślałem, że mi wyschły doszczętnie pieśni, że mnie na zawsze porzucił tęczowy anioł mój, aż niezapamiętanie, jak gdyby za sprawą Sierotki, powrócił czarodziej i nawiewa makiem melodyjnym ... ... piór ...

Stoję przy mnie jasny - Jasna!...
Słowa rytmiczne, jak twe kroki, kołaczą w głowie, skrzydli się dusza, w sercu nabrzmiewa świeżych kwiatów pąk... błękitne oczy ma ten mój anioł, oczy głębokie, oczy przejrzyste, w puszystych rzęsach topi je, gdy śpi, a gdy się budzi, to jakby z perłowego obłoku lazur się wychylał... czy tak?
- Skądże ja mam wiedzieć? - drżącą ręką wyskubywała jakoś najbliższe i prosząco, jakby pragnęła powstrzymać jego uniesienia.
Ale ponieważ tego rodzaju wybuchy napadały coraz częściej, rozmowa jego stawała się nieraz jakgdyby dalszym ciągiem opanowujących go aktów twórczości, w słowach drgały coraz silniej romantyczne akcenty, pełne poetycznego polotu i nagłych zwrotów od ogólnego tematu ku jej osobie.
Świadomość, że go słucha młoda dziewczyna, wprawiała go w szczególny, porywający serce nastrój; poczucie, że jest za ścianą stale obecną, zaczęła tworzyć w nim ciągle, nie opuszczać nawet we śnie, gdyż z myślą o tym zasypiał i z myślą o tym się budził.
Każdy jej ruch przynosił trwożną świadomość jej istnienia, słodką radość, że jest tak bliską, i bezsensowną nadzieję uchwycenia władzy widzenia skroś mur!
Wesoło, jakby pragnące rozewrzeć ciężkie oczy, ma wpatrywał się długo, wytężoną źrenicą w tynk i istotnie osiągał naraz jakoby wizję rozwiewnych, niewieścich kształtów, wijących się jak lotny cień na ścianie...
Zbliżał się z wyciągniętymi ręką jakgdyby chciał ~~jak pragnąc~~ ją wydobyć całkowicie, żeby

posągu z kamienia, ale naraz wszystko znikło, i spostrzegał jedynie plamy wilgoci i centki, które poznał wkrótce tak dokładnie, że nie były już w stanie łudzić wzroku.

Tymczasem chęć przekonania się, czy powierzchowność jej odpowiada wizerunkom jego rozbudzonej wyobraźni wzrastała do rozmiarów tęsknoty.

Pytać otwarcie było niegrzecznie, subtelniejszych napomknięć zdawała się nie rozumieć a słuchowe wrażenia, jakkolwiek obficie dostarczane z powodu cienkości ściany, dawały nie wiele materjału pod tym względem - nie zaspakajały, a jedynie rozdrażniały w najwyższym pragnienie ujrzenia.

Janusz łowił uchem najlżejsze poruszenia jej ciała, trzask opuszczonego posłania, miękkie stąpanie bosych ~~nóg~~ stóp, również szmery robionej tualety, pluskanie się w wodzie, ~~czyszczenie~~ trzepanie ubrania, dyskretny szelest sukni.

Przed wysubtelnionym jego słuchem przesuwał się jakoby cały tok jej dnia.

Chciwie zbierał uchem rozmaite drobne szczegóły, mogące świadczyć o jej wyglądzie, by odziać ciałem ~~znaczne~~ mile już poznaną, bardzo bliską sobie, silnie wzruszającą go duszę.

Wiedział, że jest młodą: ma dwadzieścia lat. Kiedyś na zapytanie: co robi? - odstukała:

- Fryzurę.

- A jaką? może secesję, albo wysoką?

- Zwyczajne warkocze, na wymyślne czesanie za małe mam lusterko.

- Chciałbym w nie spojrzeć teraz —
- ~~Nic ciekawego~~ Tak dla mnie — Nic ciekawego — i wydobył zegarek, by widzieć jak długo splata warkocze.
- Bujne - wyszeptał, słysząc jak wstaje i wydało mu się, że go otacza tuman złotych włosów, a od jej stąpań, jak biała mgła, zaczyna się chwiać ściana.

Nieraz w nocy budziło go pragnienie wyczuć w ciszy miarę oddechu kołyszących się tuż za ścianą piersi, ale słyszał tylko przyśpieszony rytm własnego serca, szum pulsującej w tętnicach krwi.

- Śpi lżej niż dziecko - szeptał z rozczuleniem i chciało mu się wśnić w jej sen, poznać najgłębsze tajniki jej bezimiennych wzruszeń, zajrzeć w przejrzystą jej uśpienia toń i myślał, że musi być łagodną błękitną, zagarniającą, bezdenną, cudownych promieni i kolorów pełną, ciepłymi źródłami bijącą, rozdrganą falami rozlewnej rozkoszy...

Przypominało mu się Świteź jezioro, nad którym błąkał się dzieckiem i uczył się tęsknić i marzyć, ~~wówczas~~ dziś stukał delikatnie: Kocham!, i nadsłuchiwał, czy nie zmąciło jej snu to słowo, a gdy się czasem poruszyła żywiej jakby wzruszeniem ocknięta, drżały mu ręce i mdłością zawlekało się serce.

Kiedyś mu wystukała, że go widziała przez otwór judasza, gdy mijał korytarz.

- Jaka Pani... szczęśliwa... - zaczął odpowiadać i pomiarkował się, że byłby palnął kapitalne głupstwo

samemu sobie Komplement
jakgdyby ~~Komplement dla siebie~~, że-
skamotował ostatni wyraz.
- Jakto-jaka?
A on korzystając, że drażliwe pytanie
stanęło niebezpiecznie, dodał zastobliwie:
- Jaka - to znaczy: proszę rysopis.
- Kiedy passport wzięło!
- Ale zostawiono lusterko!
- Malutkie!
- Może być i miniatura, byle wierna,
odpowiednio powiększyć potrafię.
- Mówiłam: czarna jak smoła, a do
tego gruba, pękata, oczy jak szparki,
nos jak kartofel, strączki włosów...
- Kto panią nauczył tak kłamać - nie wiem
- A kto dawał lekcje fałszywych zeznań?!
- To nie jest elektro, ~~a włosiane~~ ewr. dążenie
do⁺ równouprawnienia: pani ~~wcale~~
widziała - ja nie, i nie zobaczę, bo moja
cela z boczku, chcę ~~równo~~ więc choć za po-
mocą opisu wyrównać sytuację. Przy
tem wszelkie kłamstwo, jak naucza-
łaś, powinno mieć pewne pozory
wiarygodności, nie wpadać w sprzeczności.
Tymczasem primo: warkocze plotło
się, jakem sprawdził objektywnie, cały ~~kwa~~
kwadrans; stąpa się lekko; stukanie,
które wypada mniej więcej na wysokości
piersi, świadczy o słusznym wzroście.
Otóż moje dane ścisłe jak matematyka,
a wnioski: smukła, o długich warko-
czach osoba - następnie coś przeczu-
wała moja intuicja poetycka, która
ułożyła na intencję sąsiadki następ-
pujące rymy:

Petit

„Niedościgłe jasności, słodycz i wino
Z ~~[illegible]~~ spotkały się, dziewczyno,
Wiem żeś upojna, i jasna, i słodka,
Serce moje pozna cię, gdy spotka!"

Miła siostrzyczka, czyż jest w niem przypomnienie coś z tego? Czyż nie jest ono zupełnie naturalne?.. Aby ułatwić sprawę - ja będę mówił, a siostra niech milczeniem potwierdza, a stukaniem zaprzecza:

Blondynka, błękitne duże oczy, długie rzęsy — ściana milczała.

- Małe usta!...

Zaprzeczyła krótkiem uderzeniem — ciągnąłem ~~[illegible]~~ tymczasem — ... ale szlachetne, drobne, rasowe rączki, puszyste, złote włosy - tak ważnych „szczególnych znaków" - żadnych, o ile nie jest niem naturalny wdzięk. Ściana milczała.

- Uroki postaci omijam, przyrzekam ~~[illegible]~~ nie dotykać więcej tego tematu i proszę o przebaczenie.

Nie odpowiedziała mi.

- No, przebaczyć - możem niewłaściwie postąpił, ale, doprawdy, półtora roku nie widziałem żadnego bliższego człowieka. Wizerunek Jasnej, zawieszony w mojej wyobraźni, wygoi oczy, zbolałe od widoku szarych mundurów, będę miał na czym zatrzymać wzrok umęczony monotonją nienawistnych ścian, prócz jednej wspólnej. Dla mnie tak łaskawej, że chciałbym ją wynieść z sobą jako serdeczną pamiątkę - nim się spotkamy napewno. Siostrzyczka wyjdzie prawdopodobnie niedługo, za parę lat i ja się znajdę - odszukamy się - zgoda?

– Zgoda! – odpowiedziało wzruszone kołatanie.
To porozumienie w sprawie mocno porywającej Janusza, wywarło silny wpływ na dalszy rozwój jego uczuć. Idąca z ducha skłonność ku niej zaczęła nasiąkać krwią, przyoblekać się w ciało.
Mglista przedtem jedynie postać jej jęła nabierać plastycznych, jasnowidzących kształtów, i wizerunek, urobiony wyobraźnią z poznanych pierwiastków, niebędący ani portretem, ani tym mniej fotografią, posiadał pewne pokrewieństwo z osobą sąsiadki.
Jego Klara przypominała rzeczywistą Klarę w typie, nosiła charakterystyczne cechy jej gatunkowej urody właściwe. Typ ten indywidualizował się w oczach Janusza na modłę owego niezniszczalnego prawzoru, który jest jakoby przez naturę włożony w najgłębsze instynkty elementarne rasy, staje się dopełnieniem rodzaju, powoduje owe rażące różnice w gustach, określa kierunek popędów i żywiołowo zbliża płcie nie na zasadzie wyboru, lecz doboru.
W danym wypadku Janusz, niby rzeźbiarz z kamienia, wydobywał z marzeń podobiznę tej swojej jedynej, mógł więc kształtować dowolnie jej rysy, stosownie do swych najbardziej istotnych upodobań, przez co stawała mu się, jak chciał, śliczną, szczególnie ponętną, jakby była z jego miłosnych westchnień subtelnie wzięta, dziewiczych uścisków formą doskonale do serca przylegającą.
Rzecz to dokonywała się w nim stopniowo i zwolna za zwyczajnym trybem dostarczanych przez wzrok wrażeń.
Wszystkowo obnażyły mu się jedynie twarz i ręce, uwydatniły ogólną linię postaci. Reszta jej kształtów, utopiona zwykle w fałdach sukien, łudziła mu się zmysłowo jakoby cudowne istnienie, kryjące się dyskretnie w powiewnych przecznicach.

W tych wszystkich wyrwokach obrazu jej postaci przyjmowały udział nie tylko zmysłowe instynkty, ale i artystyczne popędy, przez co wzruszenia jego nabierały cech jakby ustawicznie trwającego aktu tworzenia.

Klara stawała się dlań jednocześnie utworem i podnietą twórczości, rozwijającym się w nieskończoność tematem, a zarazem ogniskiem poetycznego natchnienia.

Jedynie zasadnicze rysy jej marzonego oblicza zdołały się ustalić w wyobraźni jego, zato w nich rozciągała się płynna dziedzina różnorodnych możliwości, niewyczerpane bogactwo odmian.

Dzięki tej właściwości, twarz jej nie przedstawiała mu się nigdy ubogą, nie nużyła się, wciąż rozmaicie, zdumiewała się niespodzianą wrażliwością, zachwycała czarem niezliczonych przeobrażeń, urokiem nieustannej gry wzruszeń, dziwnym darem ciągłych odnowień, tajemniczą zdolnością najsubtelniejszych przemienień, szczególnym talentem przystosowywania się do nastrojów jego uczuć, niepojętą sztuką ujawniania w wyrazie rysów najlżejszych chybnięć serca.

- Wiecznieś ta sama - a nigdy taka sama - szeptał do niej, zdaje mi się chwilami, że nie ty oddychasz za ścianą, ale morze, które nigdy fali nie powstrzyma choć się kołysze od wieków, że oczy twe są jako błękit nieba, po którym ciągną wciąż inne obłoki, na ustach twych rozwijają ~~się~~ ~~zna kwiaty~~ pąki co moment w świeży ~~pąk~~ kwiat...

A ona, która pomimo próśb nie odzwa-
czała się mówić mu ty, kołatała

nieśmiało i jakby ze smutkiem:

- Zdaje mi się, że Janusz poemat pisze...

- Nie, tylko szczerze wyrażam to, co z celi Jasnej bije, a że ogarnia mnie nastrój romantyczny, nie moja wina, ale Sierotki zasługi. - Sierotka wie dobrze, ale jest skąpa na słowa jak nasz strażnik, muszę ~~nakołatać~~ nakuć się, jak dzięcioł, by zdobyć jej odpowiedź, która przytem jest zawsze wymijająca, bojaźliwa - czemu?

- Lękam się...

- Czego?

Nastąpiła dłuższa pauza, a potem zakołatało trwożliwie: - siebie...

- Co to ma znaczyć?! - próbował zastanowić się Janusz, ale raptem przypomniał sobie, że miał ją zawiadomić o ważnem odkryciu.

- A wie Jasna, że koło pieca (przy podłodze) cegły się zlekka rozchodzą, mam zamiar wybić tam otwór. O ile uda mi się ostatecznie rozszerzyć, będziemy mieć telefon, przez który można będzie gawędzić żywym głosem, jeśli wypadnie popracować na szczelinie, urządzimy sobie pocztę wymowniejszą, niż ten nasz telegraf.

- Ależ to znakomicie! - rozległo się radośnie.

- Chodzi o narzędzie, mam upatrzony gwóźdź, który niełatwo zdobyć.

- Czy ta robota długo potrwa?

- O ile Sierotka z drugiej strony pomoże, wystarczy, myślę, tydzień. Trzeba bowiem działać ostrożnie i cicho, by nie spostrzegli, zalepiać dłubanie białym papierem; gdyby odkryli, przesadziliby nas napewno, a to byłoby dla mnie prawdziwą katastrofą, bo ty nie wiesz...

Przerwała szybkim, nerwowym kołataniem, jakby go pragnęła zagłuszyć i odeszła od ściany.

Wkrótce upragniony gwóźdź został zdobyty i zaczęła się benedyktyńska praca wydłubywania ziarnek skamieniałego cementu, a potem dziubanie w spojeniu coraz szczelniej, jak się okazało, dopasowanych cegieł. W dodatku gwóźdź się stępiał, a w miarę zagłębiania się coraz trudniej było manewrować krótkim trzpieniem. Pierwszy cal poszedł stosunkowo dość łatwo, ale dalej, gdy wypadło kruszyć cegłę - szło strasznie opornie.

Praca zdawała się nie posuwać wcale naprzód, i Januszowi chwilami opadały wprost ręce.

- Idzie jak z kamienia - wyrzekał zniechęcony.

- Mnie nie lepiej + ~~po[...]łam~~ połamałam wszystkie rogowe szpilki, a ~~całe~~ druciane na nic, szkoda, że nic z tego nie będzie.

- Musi być - zawziął się Janusz i znowu zaczynało się uciążliwe borowanie milimetr po milimetrze. Przydługi gwóźdź giął się, trzeba go było wciąż trzonkiem od szczotki prostować, a gdy odbierała główka wyślizgiwał się co moment ze zdrętwiałych palców. W dodatku znikła silna podnieta, której doświadczał słysząc idące na spotkanie skrobanie z jej strony.

- Co siostrka robi? - zapytywał od czasu do czasu, chcąc wywołać poczucie jej obecności.

- Myślę jak pomóc, słyszę, jak Janusz się trudzi i tak mi żal! ale nie mam czym, chyba zębami...
- Szkoda ząbków.
- Zbrzydły mi bezradne ręce.
- Miła! - i tknięty nagle rozkosznym pomysłem dodał wzruszony ~~y~~ - a jednak mogłyby mi się stać wielką ulgą.
- W jaki sposób?
- Proszę tu gdzie stukam, położyć dłoń; ~~nie~~ - Już!

Janusz pocałował to miejsce.
- A teraz drugą! - Uczynił to samo i wybełkotał: - dziękuję!

Odtąd coraz częściej całował jej ręce, doświadczając potężniejącej potrzeby rozkoszy, jakby w miarę poznawania pieszczota stawała się coraz bardziej realną. Jednocześnie jednak wzmagało się wrażenie niedosytu, niekompletności pocałunku. ~~To wszystko w~~ To wszystko w połączeniu z niecierpliwiącą, mozolną pracą wprawiało go w jakiś denerwujący stan gorączkowego podniecenia, niepokoju i nagłych zmysłowych rozdrażnień.

Kiedyś gdy złożyła jak prosił ręce, pochylił się i przycisnął usta do wystających z muru jej pięści tak silnie, że poczuł smak wapna. Krew mu uderzyła do głowy, podniecony rozjątrzony, zacisnąwszy pięście, grzmotnął silnie w ścianę, sycząc: „przeklęta!" i jął się miotać po celi, wzburzony do dna.

Gdy ochłonął, przeraził go (i) krzyku, i stan własny oraz dziwna matówka, która zapanowała w jej numerze.

- Przepraszam - wybąkał winowajca.

- Nie gniewaj się - rozległo się spazmatyczne dygotanie tak żałosne, jakby mur zatkał jej łkami.

- Przepraszam bardzo, - powtórzył - prosząc o rzęskę - i całował wzruszony, nic nie wiedząc, że położyła na wskazanem miejscu, drżące płaczem usta - i czyniła to potem wielokrotnie, choć twarz jej za każdym razem oblewała się szkarłatnym rumieńcem. Ustawiczne przewiercenie na wylot ściany stało się płaty zadługą, wpadła bowiem na pomysł użycia szpilek od gorsetu. Narzędzie to okazało się tak znakomitem, iż wkrótce szpara była gotowa.

Rozmiary jej nie pozwalały wprawdzie na ustną rozmowę, ale listy w postaci wąskich, z kilkoro złożonych pasków można było przesyłać z łatwością.

Z drobnej tej szczeliny niby z mocno bijącego źródła poczęły tryskać niewyczerpane potoki miłości.

Korespondencja ich bardzo szybko przybrała postać otwartych zwierzeń, przyczem w jego wyznaniach drgały nuty porywcze, burzliwe, namiętne, w jej miękkie, stłumione, dyszące tkliwym kochaniem akordy. Telegraf stał się przeważnie już tylko sygnałem wywołującej poczty. Poczem ze szparki wysuwały się białe zwitki [illegible] jego zama-

29.

szyfrem pismem, lub zasypane jej maczkiem; że białe wstążki stawały się jakoby paskami transmisji, wprawiającej w coraz żywszy ruch ich umysły i serca.

Zasłuchali się w sobie, jakoby zagarnięci wichrem, który wiał z celi do celi, raz lekki, polotny, jak częste emanacje ducha, to znów unoszący w niebo egzaltacji, a czasem ciężki, obarczony cielesną tęsknotą, przesycony ~~wrzeniem~~ wrzeniem krwi.

Polubili więzienny mroczny dzień za to, że wyglądał jak zmierzch, usposabiający do dyskretnych zwierzeń, polubili swe osamotnienie i ciszę we dwoje, rozkochali się w głuchych nocach, kiedy ich wpółomdlałe ciała mimowiednie tuliły się ku sobie przez mur, i nieraz w uśpieniu luba moc rozsuwała ścianę, jak jedwabną kotarę, łączyła usta, kładła piersi na piersi i zaplatała ramiona w ramiona...

I potym rano, jakże leniwie rozwierały się omglone, senne oczy, jak słodko drgało pierwsze: dzień dobry! jak śliczne były jego listy, upajające jak kwiaty, rozkoszne jak pieśni, gorące jak płomienie...

Czytała i nie wiedziała, czy płakać ze szczęścia, czy się weselić – więc się pławiła we łzach.

Czuła, że się stała więźniem Janusza i pisała o tym otwarcie.

A on potwierdzał dodając: i to więźniem skutym na całe życie, jak Lelum i Polelum... i ja cię w ramionach poniosę na wonny stos miłości.

Ale ich sny, rozkosze i uniesienia wtargnęła przerażająca poza nimi rzeczywistość.

Janusz otrzymał akt oskarżenia.

zarzuty były ciężkie, paragrafy groźne, ale dowodów niewiele.

Bez względu jednak na rezultat sprawy, skazanie czy uwolnienie, stanęło przed nimi widmo rozłąki. Na myśl o tym ogarnęła ich gorączkowa pasja wyczerpania do dna pozostałych chwil, wypowiedzenia sobie jak można najwięcej, wyzyskania każdej sposobności. Przez szparę szły paski za paskiem od pocałunków i słów pieszczoty, niby zdjęta szałem, od świtu do nocy dygotała dzieląca ich ściana.

Wzgląd na sąd wróciła rozwaga: Janusz odesłał jej listy, by nie wpadły w obce ręce.

Udawał spokój i wesołość, by usunąć jej obawy, sam jednak nie mógł zasnąć i słyszała, jak stąpającym się krokiem niby zamęczony śmiertelnie szyldwach - chodził do rana.

Gdy go wyprowadzono, mijając jej drzwi, schwytał dwie pozbawione powiek źrenice w otworze judasza, gdy wracał, tkwiły tam jeszcze, zagasłe z rozpaczy.

Myślała, że został skazany.

Myliła się.

Dla braku dowodów sąd go uwolnił, ale zatrzymała administracja. Wkrótce otrzymał parę lat zesłania.

Gdy opuszczał celę, podszedł do jej drzwi i zastukał mocno: - kocham! - próbował zajrzeć z bliska w jej ukazujące się oczy, ale dostrzegł tylko zalewające źrenice łzy i po raz pierwszy usłyszał, rozpłynięty w żałosny jęk, jej głos: mój!...

Reszta słów zginęła w szczęku ostróg i pałaszy otaczającej go straży.

d. c. n.

~~II. [illegible]~~

31. Gustaw Daniłowski – Za ścianą –

~~II rozdział.~~ II

Klara mogła wyjść dawno z więzienia za kaucją, ale póki był Janusz, nie chciała za nic ruszać się z miejsca, gdzie dziewiczy pąk jej serca rozchylił się w purpurowy kielich i doznawał pierwszych omdlałych ~~przetrwań~~ powiewów idących z otchłani rozkoszy.

Obecnie nie spieszyła się również, chodziło jej bowiem o ocalenie listów. Szukała długo sposobu, aż wreszcie wpadła na pomysł włączyć całą tę korespondencję do zeszytu, w którym prowadziła rodzaj pamiętnika, przyczem w obawie, by ta najserdeczniejsza tajemnica nie dostała się w ręce wrogie, nadała wszystkiemu postać jakoby urojonej opowieści.

Póki ta praca trwała, doznawała wrażenia, iż jeszcze obcuje z Januszem, i to łagodziło dotkliwy smutek rozłąki.

Gdy skończyła, nie było racji zwlekać.

Przed opuszczeniem celi spaliła oryginały listów, odłupała na pamiątkę kawałek tynku z tego miejsca, gdzie się najczęściej [illegible], ukrywszy cząstkę ściany i kajet na piersiach, wyniosła na wolność świadectwo więziennej miłości...

Opiekujący się nią krewni wypłacili jej ~~skrupulatnie~~ skwapliwie resztę należnego kapitaliku i dali do zrozumienia, że mają dość tego kłopotów, że jest pełnoletnią, może więc opuścić dom, którego spokoju nie umiała uszanować.

Sprawiło to jej pewną przykrość, ale jednocześnie zapewniało kompletną swobodę działania.

Niepoprawna, skompromitowała się ponownie i, nie czekając tym razem groźnych istotnie konsekwencyj,

za dostarczonym paszportem na imię Aliny Starek, wymknęła się za kordon.
Z Galicji ~~do Janusza~~ napisała o wszystkiem, ale list zaginął.
Pracowała czas pewien na emigracji, szargając coraz mocniej nadwątlone życiem i tułaczką zdrowie. Na jakimś rozkrzyczanym wiecu, gdzie pobraz pierwszy spotkała ~~się~~ naocznie z ludźmi, krzyczącymi imię jej Ojczyzny – rzuciła jej się krew. Przebywała czas pewien w Zakopanem, ale surowy klimat nie służył, polecono więc jej wyjechać na południe.
Z Włoch napisała do Janusza powtórnie, ale i tego listu nie otrzymał, skutkiem bowiem natłoku zesłańców włóczył się jeszcze po rozmaitych turmach i etapach, oczekując swojej kolei.
W dodatku, ~~skutkiem~~ z komendą ostrego zatargu z władzą, zajechał znacznie dalej, niż mu kazano pierwotnie.
Uciążliwa wędrówka skończyła się w samotnej jurcie w dzikim, oderwanym od cywilizacji świata kręcie dalekiej północy.
Tu spoglądał w te dziwne, niepokojące dni, kiedy tarcza słońca, niby zapalona źrenica ścigającego ziemię olbrzyma, tygodniami błąka się po widnokręgu, a potem w długie posępne noce, w których się czuje, że w milowym promieniu niema żywej duszy, w których każdy szelest w zmroczonym pustkowiu nabiera ostrych, przenikliwych wyrazów, a trzaśnięcie deski wstrząsa, jak wybuch gromu.
Poznał te momenty panicznego lęku, kiedy zdaje się nagle, że we wszystkich węgłach jurty pod powałą, za wrotami, za oknami z lodu ktoś stoi, czai się, czyha – pierś zatrzymuje oddech, przerażająca groza oblega serce, wzrok nie śmie się podnieść

by nie zobaczyć strasznych, potwornych istot, skradających się kocimi krokami.

Czasem wychodził zaszyty w reniferowe futro skóry i jak słup samotny sterczący w środku białej pustyni, niby zasłuchany w olbrzymie, grające światłem organy – wpatrywał się w zjawisko zorzy polarnej.

Wytryskami roztopionych płynnych farb kłębiło się niebo. Drżącymi ruchami rozpościerał się szeroko koronkowy wachlarz, utkany z subtelnych kolorów, i dygotał jak by w trzęsących się ze wzruszenia dłoniach.

Raz wraz osłaniały go zielonkawe rozwiewne welony, przecinały szerokie karminowe pręgi, słuckie pasy, zwoje falujących wstęg, mieniące się w fałdach ogniami rubinów.

Potem wystrzelał drgający, tęczowy łuk i miotał na wsze strony promienne strzały.

Nagle migotliwym błyskiem, niby raptowym zamachem stalowego miecza, rozpruwało się łono niebios i z rozpłatanej, zaognionej rany w złotej kurzawie występowały jakoby orszaki samego Boga – Cherubiny, Archanioły, Trony, udrapowane w przeźroczyste szaty ze złotogłowiu, fijoletów i purpury. Kołysały się rozwieszające różnobarwne chorągwie, rozściełały przepyszne swe płaszcze, których ciężkie bogate frędzle, niby roztopiony bursztyn, zdawały się ku linji horyzontu, rozsypywały girlandy kwiatów, sznury klejnotów.

Na gorejącym sklepieniu zdawały się odbywać jakieś płomieniste procesje, tajemne misterja: to jakby składanie żywych ofiar, których broczeniem jak krwią nasiąkały śnieżne ziemie, to rozpalanie olbrzymich stosów, których płomieniem, jak

pożarem zajmowało się lodowe pole.
Potem wyjaśniły się barwy, stawały się nikłe modre, seledynowe, różane i przez ich delikatną [?] przeziérały tu i owdzie senne gwiazdy, niby spłokane oczy istot eterycznych i nieznanych.
Płonęły drgające kolorowe ognie, niby łuny wybłyskujące z zaświata, tajemnicze sygnały oczyów, co może już na drugim brzegu życia za Acheronem i Styksem w widmowej krainie słodkiego wypełnienia...
Janussa ogarniało mistyczne wzruszenie, melancholja zadumy, niemal tęsknota śmierci, lunatyczne przyjmienie zlania duszy z tym dalekim cichym pełganiem cudownie mieniących się świateł.
Nastrój głębokiego smutku i zniechęcenia do życia minął wraz z zimą i nocą.
Ze zbudzeniem się wiosny, z puszczeniem śniegów, ze spękaniem się lodów, z huczącym rozlewem potężnych potoków, ocknęła się i jego dusza.
Przybierały w rzekach wody, a jednocześnie wzbierały energją młodzieńcze siły.
Nadciągały radosne stada ptactwa, gdzibiące klucze skrzydlate, niosąc z zachodu wspomnienia...
Wybuchała się na świat bujna wiosna, kiełkowało, kwitło wszystko, kochało naokół i nabrzmiało przyjmieniem miłości i jego serce.
Wówczas zaczęła się zjawiać ona.
Nieraz gdy brodził w aromatycznych, soczystych trawach tajg, jakby jej oczy wyzierały mu z kwiatów.
Czasem mu, gdy płynął rzeką we wzdętej fali zawajaczyły nagle dziewicze piersi, w drgających plamach słońca przewinęły się złote warkocze

ze skłębienia wśród wynurzyły się na mgnienie oka kuszące kształty niewieściego ciała. Gdy się przedzierał przez krzaki, zaplątawszy się w młode pędy, doznawał ciągłego lekkiego dreszczu, jakby go opasywały lubieżnie spragnione ręce.
Wszystkie te złudy podnieconych zmysłów, pochodzące z pragnienia kochania, łączyły się ze wspomnieniem o Klarze, stawały się gwałtownym nawrotem przeżytych z nią wzruszeń i wzniecały krwawą ku niej tęsknotę.
Był pewien, że to samo namiętność tak się odzywa, że poza tą jedyną dziewczyną wszystkie inne są mu obojętne.
Przewidywał, że jest już na wolności, odległa, przedzielona nie twardą ścianą, a jedynie próżnią przestrzeni, którą przebyć można i trzeba.
Ciągnęło go ku niej, rwał się do kraju i narażać się wyrywał.
Na opuszczonym pobojowisku zastał zgliszcza, ciepłe popioły, pod spodem pełne ognisk gorejących tu i ówdzie skrycie - świeże zwłoki zdarzeń, broczące jeszcze żywą krwią.
Mnóstwo ludzi gdzieś się podziało, wielu odstąpiło, szczupła garstka niezłomnie wiernych snuła się w głuchej, posępnej nocy, by pozbierać i zeszyć w całość strzępy potarganych sztandarów.
O Marcie - pseudonimie Klary znalazł ledwie w kilku zapomnienie, ogólnikową wiadomość, że wyjechała za kordon.
Janusz czas pewien tułał się po kraju, ale robiło mu się coraz ciaśniej i wkrótce wypadło przekroczyć granicę.
Emigracja roiła się od rozbitków, atmosfera jej była zgryźliwa, pełna ~~[illegible]~~ swarów, nieufności, a nawet ciężkich wzajemnych podejrzeń, zgoryczenia, potęgowała w wielu razach ostateczna materjalna nędza.
Janusz zorjentował się szybko, że jest tu naprawdę zupełnie zbyteczny, należał mu się zresztą odpoczynek. Postanowił więc bawić tylko póty, póki się czegoś nie dowie o Klarze. Ale o niej

jako o pionku, wszystko zapomniano, i nikt ani nie wiedział, gdzie go poszukać. Dopiero wypadkowo natrafił na dość niezwykłą wschodnią figurę, która mu zakomunikowała, że Klara podobną, nieznaną mu jednak nazwiskiem, bawiła czas pewien w Zakopanem, a teraz siedzi na włoskiej stronie Gardeńskiego jeziora.
Gdy Janusz zauważył, że trudno ją będzie bez nazwiska odszukać, uprzejmy jegomość objaśnił mu, że jest tam jeden kurort tak niewielki, że niepodobna się nie spotkać.
Janusz uważał za stosowne zataić, iż szuka osoby, której nigdy na oczy nie widział, rozpytał się tylko o marszrutę, i z myślą, że gdyby on nie zdołał, to ona go w każdym razie pozna, puścił się w podróż.
Jechał na Semmering, drogą, którą nigdyś z zachwytem przebywał, obecnie pośród gór Styryjskich, po groźnych wiłkach okolic pobocznych. Alpy te wydały mu się mniej malownicze, zbyt wyglaskane, obtarte ręką sportowego człowieka.
Drażniły go zgorszenie Niemców, którzy z lornetkami i okrzykami: „schön, sehr schön!" pchali się do okien, drzemał w najpodniejszych widokach, zasłoniętych gwiazdkami w Baedekerze miejscach.
W Mori przesiadł się na wąskotorówkę, która z piskiem i zgrzytem, niby długa gąsienica, przewijała się między nagiemi skałami, podobnymi do ruin polrozsypanych kamiennych budowli.
Trwało to kilka godzin, aż wreszcie pękły się okiennice otwarty i błysnęło cudne rozpostarcie błękitnego jeziora.
W małej zatoce dymił statek.
Delikatna rewizja - sygnały dzwonka - przeciągłe buczenie. Włoskie okrzyki rzucających liny majtków i poruszyły się stoki, aż zadrżał kadłub.
Parowiec się cofnął i zataczając zwolna łuk ruszył naprzód.
Janusz usadowił się na pokładzie.

37.

Ciepło było i słonecznie. Po obu wodnych brzegach pnie-
ły rozsiane u podnóża łagodnych wzgórz białe wille,
otoczone murami, przez które przelewały się falami
bujne i pnące się ~~różowe i żółte~~ czerwone i kremowe róże.
Na stokach zieleniły się rozpięte winnice, gdzie-
niegdzie widniały wachlarze palm, delikatnym
~~Delikatnym~~ kwieciem obsypane bezlistne brzoskwinie,
rozłożyste o białych pąkach magnolje i połyskliwe
ociekające złotem mimozy..
Tu i owdzie wznosiły się ~~połyskliwe~~ strzeliste cyprysy.
Rozsłaniały się powoli wzgórza, rozdzielały
wybrzeża, coraz większym stawał się błękitny
obszar, którego drobne zmarszczki zdawały się
krzesać iskry ostrzami klingi z niebieskawej stali.
Łagodna chwiejba statku, intrygująca połyskli-
wa fala, przejrzyste niebo, bezmiar rozciągają-
cej się ~~fali~~ toni, cały ten cudny majestatyczny pej-
zaż w połączeniu z myślą, że ku niej dąży, wpra-
wiło Janusza w stan potężnej rozkoszy.
Miał wrażenie, że ten błękit, te blaski, te róże
są jakoby czarownymi zwiastunami wrotów
szczęścia, po które płynie, prześlicznym
powitaniem zbliżającej się miłości.
Im bliżej, tym piękniej!
Uroczystym rozpięciem wzdętych żagli zdawały się
go witać spotykane łodzie, laurami - gaje,
smukłością - cyprysy -
Powitalnym hymnem zdawały się grać rozpła-
kane pod wieczór dzwony, które melodyjnym
klangorem przeciągały nad wodą, niebem i ziemią.
Gdy słońce zgasło, różowym blaskiem zapło-
nął się ~~szczyt~~ śnieżny Monte-Baldo, i jedno-
cześnie zamigotały w oddali światełka Gardony.
Statek dobijał, a Janusz patrzał wzru-
szony na mrugające ogniki, usiłując
odgadnąć, z którego okienka wyglądają jej promien-
ne oczy.

Przejmujący gwizd, tłocząca się ku pomostowi publiczność zbudziła go z rozmarzenia.

Jakiś ~~fakino~~ fachino wyrwał mu z rąk pakunki, uszeregowani tragarze wykrzykiwali nad uchem nazwy hoteli, proponując swoje usługi.

Zastanowił się, co robić i ujrzawszy wielkie elektryczne latarnie pobliskiej kawiarni — ~~kazał~~ wstąpił po- kazał podać sobie kieliszek wina i kurliste.

Szybko przebiegał oczyma kolumny nazwisk przeważnie obcych, natrafił na kilka -ski ale były to albo małżeństwa, albo mężczyźni dopiero przy końcu pod nagłówkiem „Pension Belle-Vue" znalazł dwie fräulein: Alina Starch, Marta Sławińska obie z Königreich Polen.

— Jedna z nich, prawdopodobnie ostatnia — pomyślał z bijącem sercem, zapłacił i w ślad za wózkiem tragarza szedł długo przez szosowaną ulicę.

Pensjonat Belle-Vue, lekki dwupiętrowy budynek z licznymi balkonami od frontu stał na wzgórzu w oliwkowym gaju. Okna na piętrach były przeważnie już ciemne. Parter świecił się cały; jak się okazało, mieściła się tam już zupełnie uprzątnięta jadalnia i salon, w którym cztery osoby: wygolony starszy jegomość, otyła dama, jakaś młodziutka o szpakowatej głowie i [illegible], chuda panna grały w domino.

Guten Abend — na różne głosy, a jednocześnie nie przerywając gry, odezwała się cała czwórka na widok Janusza.

Wkrótce zjawiła się gospodyni.

Po długich targach Janusz zdobył jedyny wolny pokój na drugiem piętrze za 8 franków tutto compresso.

39.

Gdy schodził po schodach, zauważył wprost schodów czarną tablicę z wypisaną listą gości; pod siódmym numerem widziała: Alina Starek; pod dwunastym: Marta Stawińska.

- To ona - zadrżało mu ponownie serce i jednocześnie uderzył dziwny zbieg okoliczności: cela Klary w więzieniu była również dwunastką, a jego fatalna trzynastka, jakby się tylko odwróciła, zajął bowiem numer trzydziesty pierwszy.

-Polka? - spytał wskazując palcem.

- Ja, ja - potwierdziła gospodyni.

- Ja także - oświadczył Janusz, wziął kredę i w odpowiedniej rubryce wykaligrafował swe nazwisko.

Znalazłszy się w swym pokoju, położył się w ubraniu, zapalił papierosa i rozmyślał:

- Marta - jej pseudonim, Stawińska - podobne nazwisko, dwunastka... no, tak, oczywiście! - Znowu pod jednym dachem! Dwa lata... nie, dwadzieścia pięć miesięcy i siedemnaście dni - stosunkowo niewiele...

Wstał, poszedł na balkon.

Cisza. W szczerym szafirze - zwrotnikowe się gwiazdy. Sierp księżyca nad śniegiem góry Baldo, w dole rozciągnięta w dal tafla, odbiła w swym zwierciadle niebo, sprawiające wrażenie miraży.

Sztywne cyprysy, jak szyldwachy, stoją na straży milczenia. Nie śmie nic się poruszyć, ale oddychać wolno, więc kwiaty, których ~~potebnie~~ nie ~~jak~~ zapach, napełniają odurzającym aromatem przejrzyste powietrze.

- Jak zaczarowana królewna śpi w swej błękitnej grocie spokój. W takiej formie zbiegła mu się w głowie myśl o niej i odeszła pokusa zejść i zobaczyć.

Włożył pantofle i po omacku ~~lam~~ lampkami oświetlonych schodach

spuścił się o piętro niżej.

- Od pierwszego do szesnastego – zobaczył naprzeciw, wsunął się w korytarz i zatrzymał się przed jej pokojem. Z białego w odrzwiach haczyka spływała w miękkich fałdach jedwabna halka, ~~czesuczowa~~ cze-sunczowa spódniczka i taki szalik, który zdawał się jeszcze w fałdach rękawów zachowywać kształt pięknie rozwiniętych ramion.

Przesunął dłonią po przezroczystych szatach pieszczotliwie, zaszeleściał jedwab i delikatny zapach perfum owionął mu głowę.

Wpadły mu w oczy stojące przy sobie wysokie zapinane na guziczki z białego zamszu buciki, świadczące o zgrabności małych stóp ich właścicielki.

Widok ten przypomniał mu urok pełnych, rytmicznych stąpań za ścianą, zachwiało mu się ze słodkiego jak wówczas wzruszenia roz-rzewnione serce. Błogi uśmiech otoczył mu usta, i delikatnie, końcami palców, wzniosłym sposobem wystukał: kocham; postał chwilę nasłuchując, ale lakierowane drzwi milczały, za to ktoś ~~w~~ w pobliżu zakasłał, gdzieś zaskrzypiał pod zdwojonym ciężarem sprę-żynowy materac, i zaszemrał tkliwy, zdu-szony szept i grubszego głosu takowe wzruszenie. Jakby się wzdrygnął, skradając się na palcach, wycofał się do siebie, gdzie odurzony wrażeniami, wyczerpany podróżą zasnął szybko i mocno.

Klara, meldująca się stosownie do paszportu jako Alina Szarek, była jedną z najprzykładniej-szych kuracjuszek pensjonatu. Wstawała regularnie o ósmej, wypijała śniadanie, potem szła w ustronniejszą część ogrodu, gdzie werandowała oznaczoną ilość godzin.

Pomimo iż kuracja się nadzwyczaj skrupulatnie [?] odbywała, wagi przybywało bardzo niewiele, a temperatura, jakkolwiek spadła, od czasu do czasu podnosiła się o parę kresek ponad normę.

O ile jej leżak był prawie ciągle zajęty, sąsiedni, należący do Marty, próżnował najczęściej.

Żywa, kipiąca młodością dziewczyna ~~zdawała się~~ nie mogła ~~przymusić~~ zdawało się uleżeć spokojnie.

Była co prawda, w końcu już zdrowa. Lekki bronchit, którego się nabawiła w kilkotygodniowym areszcie, minął oddawna, ale rodzina w obawie, by się ponownie nie zaplątała w ruchu, któremu się dała chwilowo porwać — trzymała ją zdaleka od kraju.

Obie dziewczyny, jako rodaczki, szybko się zbliżyły na obczyźnie, a jako rówieśnice i do pewnego stopnia towarzyski, wkrótce zaczęły mówić sobie po ~~imieniu~~ imieniu i uchodzić za przyjaciółki.

Jeżeli jednak Marta, łatwa do zwierzeń, prędko zaczęła obdarzać „drogą swą Alę" zupełnym zaufaniem, Klara, jakkolwiek żywiła sporą dozę sympatji dla wesołej koleżanki, trzymała się z pewną rezerwą. Była z natury dość skryta, głęboko uczuciowa, wskutek poważnych przejść nad wiek dojrzała, niezdolna wogóle do zwierzeń, tem bardziej wobec takiego ptaszka, jak Marta, która potrafiła jedynie się ślizgać po powierzchni wszystkiego, czyniąc to jednak z uroczym wdziękiem i zawsze tak, by było do twarzy.

Toteż cała przeszłość Klary była dla Marty księgą zamkniętą, zresztą dość obojętną prócz jednej kartki, którą spróbowała odsłonić:

- Powiedz mi, Alu, zakochałaś kiedyś — czyś się już kochała?

- Dlaczego pytasz w czasie przeszłym?

- Więc znaczy kochasz? — rzekła żywo, przysiadając się bliżej.

Ale Klara przymknęła oczy, długo milczała, potem wzdrygnęła się, jakby dreszcz ją przeszył i wymówiła sennie:

„Którego dziś mamy?" - szła w przeszłość datami aż do chwili rozstania.
Z całego jej zachowania Marta odczuła, że nie dowie się niczego.
W ten sposób mocno poruszający jej serce temat stał się tylko przedmiotem jej szczebiotań i komicznych utyskiwań, że między tymi Szwabami niema ani jednej „ludzkiej" twarzy.
Pomimo to, by, jak się wyrażała „nie wychodzić z wprawy" przewracała cudownie swe oczy, i niejeden kandydat pomiędzy jednym kuflem a drugim miewał chwile melancholji, westchnień i niepokoju sentymentu.
Z typu urody przyjaciółki były do siebie podobne.
Obie błękitnookie, złote blondynki, z uroczym, nieco pociągającym spojrzeniem, ruchem, w stroju i całym układzie ciała, rozmiarem delikatnych rąk i drobnych nóg, odcinały się jaskrawo od reszty otoczenia i wydawały się nietylko niezwykle zgrabne, ale wprost lotne, wobec ciężko ciosanych Teutonek.
Rysy Klary były więcej cyzelowane, wyrazu bledniejsze jak by śladem cierpienia, ciekawsze, odkrywające swój czar stopniowo, w miarę bliższego poznania.
Marta sprawiała zato wrażenie niezwykle świeżej, hoże, znacznie bujniejsza od kształtnej tylko Klary, górowała nad nią darem tej prawie mimowolnej, niby niewinnej i tym bardziej ponętnej kokieterji, którą umiała rozdrażniać innych, doznając sama ledwie lekkiego zakłócenia, nie tyle serca, ile musującej jak szampan krwi.
Niewyraźnie świadoma, ale bardzo domyślna, znajdowała upodobanie w zręcznym igraniu z ogniem, który ją tylko rozgrzewał, ale nie parzył jeszcze.
Zresztą pomiędzy nią a całym tym cudzoziemskim otoczeniem istniał zbyt wielki przedział, by mogła się kimś zająć poważniej, to też igraszki jej nie wychodziły

poza obrębem flirtu, w którym wobec stałej znajomości wszystkim zakładała się wysoce wytalentowaną mimikę zalotnych uśmiechów i mieniących się tysiącami odcieni spojrzeń.

Gdy miała już dość, biegła do Klary i śmiała się do łez ze wszystkiego, przy czym naśladowała głosy i gesty tak świetnie, że i Ala się rozweselała i śmiała się:

- Bój się Boga, nowy Grünwald chcesz sprawić!..

A ona owijała swymi puszystymi warkoczami, które nosiła zwykle z rana, czesząc się inaczej na obiad, obnażoną szyję i odgrażała się:

- Podusię cię tymi arkanami krzyżackimi, jak ten, pamiętasz, na obrazie Matejki! -

Tegodnia przybiegła znacznie wcześniej, niezwykle podniecona, rozpromieniona, podskakując jak w tańcu, klaskała w ręce i wołała z daleka:

- Ah, Ah! nowina!.. Aus „melcaityi" i „gutworzeny"! mamy Polaka i nie byle kogo - poetę, artystę - mówiąc, ni więcej tylko sam Janusz Tarczyński. Przyjechał wczoraj... dopytywałam się czyśmy polki... stoi na górze, pod trzydziestym pierwszym; musi nam wystąpić, musi! - tupnęła kaprysnie nóżką, nie zauważając w porywie, że Klara zbladła jak płótno, a potem się oblała pąsowo gorącym rumieńcem.

- Co mówisz?! - wydobył się z głębi piersi zdyszany głos.

- Janusz Tarczyński - wypisany na tablicy, widziałam własnymi oczyma. Resztę wiadomości wysączyła gospodyni. Wkrótce pewno zejdzie, kazał sobie kazać podać na górę... Przyjechał wczoraj nocnym statkiem... Strasznie ciekawa, jeśli choć w połowie podobny do swoich książek, musi być okropnie zajmujący. Pamiętasz - zaczęła deklamować z patosem:

.. /. Lwa rozdarł Samson, pobił Filistyny,
Bram miast obronnych wynosił zawiasy,
Targał jak nitki najmocniejsze liny;
Lecz kiedy poznał kobiety ramiona,
Białe jej sploty związały Samsona...
I będą wiązać mężów wszystkie czasy...
Bo najmocniejsza jest miłość na świecie.
Że lwem poradzisz, ale nie z dziewczyną:
Słodką swą piersią upoi jak wino,
A ust makami uśpi cię jak dziecię...

Albo te, te śpiewne:

.. /. W perłowe łzami i kwiatami senne
Nurzam się łąki.
Jakgdyby w oczy z kochania bezdenne
Ust słodkie pąki,
Które oddycha wilgoci rozkoszą,
Ziół aromatem...
Żal, że cudowną tę łąkę wykoszą
Wraz z rosą, z kwiatem!...

Umilkła słysząc, że chrzęści żwir.
Klara zwróciła w tę stronę głowę i serce jej zamarło.
W arkadzie bluszczów ukazał się Janusz.
Od tego czasu jak go ostatni raz widziała nie zmienił się prawie.
Była to ta sama medaljonowa twarz o trochę za krótkim, energicznym podbródku i wydatnym, bielszym niż reszta smagłej cery czole.
Ciemne wijące się w loki w dzieciństwie włosy, krócej ostrzyżone obecnie, skręcały się jedynie na końcach w drobne wichry. Obcisły szary kostjum, miękka koszula, fantazyjnie związana kokarda krawatu, szeroki pas i filcowy o dużych skrzydłach kapelusz nadawał mu trochę zamaszystą postawę bojowca.

Głęboko osadzone, orzechowe oczy, kocio żywiste jakby posuwają mary-

cielstwo, na widok dziewcząt jakby się przeobraziły radosnym promieniem.

- Pozwolą się, rodzeski, przedstawić - usłyszała Klara po raz pierwszy jego żywy, swobodnie grający głos.

- Janusz Tarczyński - skłonił się z lekka w jej stronę i zwrócił się całkowicie ku Marcie. Patrzał chwilę badawczo, uśmiechnął się porozumiewawczo, wyciągnął dłoń i, ciepło ujmując podaną rękę, wymówił zacisznie jakby wspominał: - Jakżeś jasna!

Rzeczywiście stojąca w słońcu Marta swymi złocącymi się warkoczami, błyszczącą czesunczową sukienką, którą wydobyła z nocy, lekkiem spłonieniem hożej twarzy - sprawiała wrażenie niezwykle jasne, wprost olśniewające.

Zdziwione nieco sposobem powitania błękitne jej oczy rozsunęły się cudownie zmieniając z modrą pociągającą toń. Złożona w jego uścisku dłoń drgnęła nieznacznie i jednocześnie w źrenicach zaigrały zalotnie figlarne płomyki.

Klarę ogarnął znów niesłychany popłoch, potem uczuła jakgdyby gorejące węgle w piersiach i otwierające pustki w czaszce, w które się zdały pogrążać wrażenia, myśli, świadomość...

Z pod nawisłych powiek widziała, że coś mówią do siebie, zwracają się ku niej [illegible], odchodzą, mając w perspektywie alei, niknąc jakby w mgle.

Ocknęła się na chwilę przytomności: posłyszała w pobliżu oddalające się skrzypnięcie ich kroków.

- Janusz! - targnęło się w piersiach rozpaczliwe wołanie, ale nie wybiegło na usta.

Huśtający się [illegible] głos oberwał się i runął jak w otchłań; pociemniało jej w oczach i leciała jak w przepaść strącona w czeluście omdlenia.

Janusz tymczasem, pod pozorem obejrzenia ogrodu, uprowadził Martę

w ustronne zacisze.

Szli w milczeniu: on podniecony, ona nieco zaaferowana towarzystwem niezwykłego człowieka, który swym nieporadnym zachowaniem się w stosunku do niej i niepokoił i zaciekawiał ją.

- Tu się kończy posiadłość willi naszej - zaczął tweląc niewinnym głosem - ta góra ze śniegiem to Monte - Baldo, za nami Gardone - Sofra - kościołek - a to jezioro.

- Ato - ujął ją za obie ręce - z pseudonimem Marta, z imienia Klara, zamurowane szczęście moje - te smukłe palce zmieniły mi całą męczarnię w siedlisko rozkoszy, wydobyły mi cudowną pieśń miłości, którą płakało i łkało serce w syberyjskiej głuszy. Wszystkim - szukać... Zawierucha zawiała ślady, ale przeczuciem znalazłem - Jaszczę", jak to słońce, błękitnooką, jak to jezioro, świeżą, upajającą, jak to powietrze, śliczną, kwitnącą jak ten cudny kraj... Już nie widmo ukryte za ścianą, ale pełne życie, które mogę przycisnąć do serca...

Głos mu się zmienił, porwał ją w pół i począł całować wylękłe oczy, powlekające się śmiertelną bladością twarz i zstrachałe usta. Oszołomiona potokiem jego niejasnych dla niej słów, z przerażliwym błyskiem w myślach, że ma do czynienia z szaleńcem, nie była w stanie się bronić, nieruchoma, martwa z przestrachu z wrażeniem, że rozstępuje się przed nią ziemia, zwisła na chwilę bezwładnie w jego ramionach. Potem się szarpnęła, odskoczyła, opuściła bezsilnie na ławkę i, zakrywając oburącz twarz, wybuchła

47.

spazmatycznym płaczem.
- Klaro? - co ci jest Klaro?! - [illegible] się ze wzruszenia głosem począł ją uspokajać, Janusz, przysiadł się miękko ujął za rękę.
Wyrwała dłoń, odsunęła się gwałtownie i posłyszał w kipiących łzach urywane zdania:
Nie jestem wcale Klara... Proszę sobie iść.
- Proszę sobie iść. + pierś jej wstrząsnęła się głośnym szlochaniem.
Januszowi ścierpły ręce i nogi, zmieszał się, stracił zupełnie głowę. Żałosny, nerwowy jej płacz domagał się pociechy, a on czuł pustkę w głowie - zupełne rozprzężenie wszystkich władz, niemożliwość żadnej decyzji. Wreszcie się wzmógł na siłach i począł jąkać.
- Pani - doprawdy - proszę przebaczyć, proszę przestać płakać, proszę mnie zrozumieć... wysłuchać...
Podniosła się, by wyjść. Zagrodził jej drogę.
- Nie, pani nie może odejść z fałszywym o mnie mniemaniem z poczuciem krzywdy, ja muszę się usprawiedliwić - posadził ją niemal przemocą na ławce i patrząc z prawdziwym żalem na jej ukrytą w dłoniach, łkającą głowę - żywo, chaotycznie jął jej w skróceniu opowiadać historję dwóch lat, dzieje wyśnionej miłości.
- Pani - kończył - wydała mi się doskonałym wcieleniem wizji mojej wyobraźni, byłem pewny, że spotykam się z tą, którą kochałem i byłem kochany... Niech pani zrozumie, że całowałem ją jakby miraż, uważam tę scenę za niebyłą, przebaczy i jak o

z nikomym mi czasu zapomni.
- Panno Marto, szkoda cudnych rzęs, lepiej popatrzeć poczciwie, przekonać się o szczerości mego wejrzenia, pojednać się pobratersku. -
Marta, silnie wzruszona romantyczną opowieścią, ujęta serdecznym, błagalnym tonem jego głosu, odsłoniła nieco różową z płaczu i zawstydzenia twarz i obróciła go przelotnie i nieśmiało pełnymi łez oczyma.
Potem znów odwróciła się dąsającym się ruchem urażonego dziecka, wreszcie udobruchana prośbami popatrzyła ponownie, a widząc stroskaną minę Janusza, uśmiechnęła się wesoło i łaskawie - lekko, jak ptak porwała się z ławki i śmiejąca powiewającymi warkoczami, wybiegła z alei.
Janusz długo patrzał zachwyconymi oczyma na grupę palm, za którymi zginęła...
- Szkoda - przemknęła mu się myśl, lotna jak westchnienie.
Czuł, że dała się przebłagać, że go opuściła bez gniewu i zrobiło mu się lekko na duszy, niemal radośnie, że się tak ułożyła cała przygoda.
Donośny gong dał sygnał na obiad. Udał się na górę, by się przebrać. Gdy zszedł wszyscy już ~~byli~~ w jadalni. Długi stół wrzał różnojęzycznym gwarem, brzękał szczękaniem łyżek i szklanek.

Janusz, mruknąwszy - mocno -

49.

zajął wskazane przez „mädchen" miejsce, przez czas jakiś obserwował desenie talerza, monosylabami odpowiadał usiłującemu zawiązać konwersację sąsiadowi, zajęty całkowicie myślą: czy ona jest?

Zebrał się w końcu na odwagę i postanowił rozejrzeć się po sali.

Na przeciwległym rogu stołu, przedzielone otyłą damą, siedziały obie rodaczki.

Marta miała czerwone jeszcze powieki, gdy spotkała się z jego wzrokiem, zasłoniła się długiemi rzęsami i zarumieniła się mocno.

Towarzyszka jej, dziwnie, nienaturalnie wprost blada, zdawała się nie spuszczać z Janusza przenikliwo-żałosnych i jednocześnie posępnych oczu.

Było coś z ~~[illegible]~~ wyzywającego i ciężkiego w tym jej uporczywym patrzeniu. Ilekroć raz próbował się spotkać z wejrzeniem Marty, że źrenic tamtej wypadał przeraźliwy błysk i niby mignięcie wąskiej stali przecinał promienie ich wzroku, twarz jej przytym stawała się boleśnie ostrą i niemal groźną. —

Janusz widział w tych rysach wyraźny wyrzut.

Zwierzyła się swej przyjaciółce — pomyślał i zrobiło mu się niesłychanie przykro, że to zajście nie pozostało wyłącznie ich błogą tajemnicą.

Mylił się.

Klara nic nie wiedziała, ale przeczuwała, że między nimi coś niezwykłego zaszło, jakieś w stosunku do niej okrutne przeniewierstwo, od którego

ściekała jej z twarzy wszystka krew i w sercu rwał ból.
Potem, gdy skończył się obiad, wybiegła za Martą, dopędziła na schodach i wpijając się palcami w kiście rąk, zaczęła pytać szybko i gwałtownie:
- Dokądście poszli? Czemuś bawiła tak długo? Dlaczego płakałaś?... Słyszysz, mów zaraz! Coście tam robili?...
Głos jej stał się świszczący, oczy srogie i gorejące.
- Nic - wybąkała napadnięta Marta.
- Kłamiesz! - ja wiem!
- A więc wiedziałaś! - Marcie zakręciły się łzy w oczach. Ty - porwał mnie tak nagle, tak mocno przycisnął, że dech mi zamarł z lęku, nie miałam sił krzyczeć, ustami zawarł mi usta, wziął mnie za rękę... błagał... ale ja uciekłam i gniewam się... umyłam oczy...
- Tylko oczy?! - wymówiła Klara szydersko - Ty twarz i usta wymyj! wyszoruj sobie mydłem, a dobrze! - dodała dziko - bo nosisz skradzione innej pocał...
Zachłysnęła się słoną krwią, która buchnęła do gardła, puściła jej ręce, zmierzyła nienawistnym spojrzeniem, wstrząsnęła się, poszła w korytarz i, słaniając się od ściany do ściany, po omacku, jak ślepa szukała drzwi do swego pokoju.
Skutek tego wzruszenia Klara przez czas pewien nie schodziła na dół, werandując na swym balkonie.
Z tej wysokości mogła obejmować wzrokiem sporą część wybrzeża i duży szmat ścieżek ciągnących się w dole jeziora.
W polu jej widzenia snuli się po białej drodze ludzie, dru-kolorowe rzesze, lub zaprzężone w ustrojone kitami muły wózki, od czasu do czasu z piskiem i szumem przelatywał pomiędzy murami parowy tramwaj, bił wodę statek, a po błękitnej, błyskającej fali szybko ciągnęły świecące żółtymi żaglami barki, płynęły się ubrane

w różnokolorowe bandery spacerowe łódki.
Klara zdawała się z całego tego ruchu nie spostrzegać nic prócz jednego, drobnego czółna, którego czerwona chorągiewka migała w zmęczonych cierpieniem oczach, niby krwawy sygnał bujającego nad wodami jej nieszczęścia.
Śledziły niestrudzenie miarowe ruchy ciemnej sylwetki wioślarza i jasne kształty mew-ckowego sternika.
Widziała nieraz jak wlokły się wolno puszczone wiosła, obie postacie zbliżały się, pochylały ku sobie i zdawały się tańczyć na fali.
Wówczas przeszywał ją zimny dreszcz i odrywała oczy, gdy Janusz znowu chwytał wiosła i płynął.
Chwilami łódka zaczynała pędzić tak szybko, że długa wązka bandera sprawiała wrażenie smużki ciągnącej ~~się~~ nad jeziorem, pomykali coraz dalej, czółno znikało, jakby tonęło, i wkrótce stawał się widocznym jedynie purpurowy punkcik, który, niby płonąca złowroga źrenica, patrzał tak długo w jej oczy, póki nie wycisnął z pod zgorzałych powiek skąpych, jadliwych łez.
Czasem znów podpływali tak blizko, że rozróżniała dokładnie ich twarze, szczegóły ubrania, wyraziste gesty, świadczące o ożywionej rozmowie.
Kiedyś ją dostrzegli ~~obaje wołali~~ Marta zaczęła machać parasolką i oboje wołali: hop! hop! dźwięcznie i radośnie.
A ona skuliła się w sobie i drgała całym ciałem, do szpiku kości tak okrutnym, śmiertelnym popłochem przejęta, jakiego doświadcza chyba zgoniona do ostatka tchu łania, gdy nagle posłyszy w pobliżu tryumfalne okrzyki zbliżającego się pościgu.

Gdy męka stawała się zbyt sroga, zamykała oczy, wciskała głowę w poduszki, by nic nie widzieć, nic nie słyszeć, ale jakaś fatalna, nieodparta moc podpychała ją patrzeć znowu i dręczyć się dalej.
Te przejażdżki po jeziorze zaczęły się stosunkowo niedawno. Marta bowiem przez kilka dni boczyła się na Janusza, pierzchała, gdy zbliżał się, udawała, że go nie widzi, ale w tym stronieniu było daleko więcej obowiązkowej pozy, przymusu niż rzeczywistej urazy.
Przebaczyła mu właściwie wszystko, uważała jednak, że wypada podąsać się jeszcze, pokaprysić i wymigiwała się z zadania przedłużanie; jej obrażone minki były tak wdzięczne, ukośne, karcące spojrzenia tak zalotne, zaczerwienienia przy nieumyślnym spotkaniu tak ponętne, że ten krótki okres pozornego „na bakier" nie odstręczał, lecz pociągał, nie rozluźniał, ale zacieśniał stosunek.
Janusz intuicyjnie odgadł grę i okazał się znakomitym partnerem. Rozradowany jak dzieciak, witał ją grobowym wyrazem winowajcy i jednocześnie jasnouśmiechniętymi oczyma, gdy bawiła się w obrażoną, potrafił ją zawsze oszukać, gdy udawała ucieczkę, w czas jej przecinał drogę, a pewnego razu zaproponował, czy nie lepiej przejechać się łódką, niż błąkać się po ciemnym ogrodzie.
- Chciałbym, panno Marto, zmienić teren mych cierpień, resztę kary zamiast na lądzie odbyć na wodzie, jako galernik, jej wioślarz, - prosił, kłaniając się pokornie po chłopsku kapeluszem po ziemi.
Lekkie spłonienie się, wybąkanie: „nie wiem sama!" - moment wahania i wesołe: „no, [illegible]!" - zdecydowało spraw-

i na szerokiej wodzie, na jasnym słońcu reszta urazy rozwiała się jak dym.
Zapanował swobodny, jasny, wesoły nastrój.
Czasem tylko chlupnęło się śmielej niż łódka, które serce załaskotał po nerwach dotkliwszy niż drżenie fali, przelotny dreszcz i wygładzały się dusze łagodnym, słonecznym weselem.
Janusz opowiadał swoje przygody, deklamował wiersze, zachwycał się pejzażem ~~przy~~ czym mimowodnie wciągał ją w zakres widzianych i trafnych porównań. Czasem jej się pilniej przyglądał, dotykał mocniej spojrzeniem i jakby ujmował uśmiechem.
Przykra scena jakby uległa istotnie zupełnemu zapomnieniu, nie wspominali o niej nawet w napomknieniach, a jednak wrażenie jej bytowało w instynktach Marty i czasem wracało w postaci obawy, lecz zamiast dawnego okrutnego strachu, budziło się tylko zalęknienie, niepokój w sercu i jakieś nieznane pierwiastki wzruszeń, wtrącające w senne zamglenie wszystkie ~~pier~~ władze duszy.
Obawy były płonne: Janusz stał jeszcze daleko od tego rodzaju zamiarów. Dawna wprawdzie jego miłość stawała się coraz bardziej widmowa, ale tonęły jeszcze czarowne o niej wspomnienia, które nadawały dyskretną subtelność pocałunkom nowego uczucia. Wystarczał mu widok uroczej dziewczyny, bujanie się we dwoje na jednej fali, radosna świadomość wspólnego istnienia w błękitnej, przeczystej krainie.
Jeśli z nią mówił o miłości to w formie opowiadań o Klarze, a jedyną rzeczą, która mogła uchodzić za wyznanie, była prośba, by nosiła jak dawniej warkocze

i nauka szukania, by móc czasem jak z tamtą porozumiewać się sekretnym językiem. Marta zgadzała się chętnie na to jego, jak nazywał, „więzienne nałogi”, nadawało to bowiem w jej oczach ich stosunkowi cechę oryginalną, stawiało w jakiejś nowej i ciekawej pozycji.
Mętne poznanie, że wchodzi stopniowo w dziwne prawa niewidzianej, przez ścianę pokochanej kobiety, wydawało jej się sytuacją wysoce romantyczną.
Widziała się w roli heroiny fantastycznego poematu i z wrodzoną łatwością nieomal uczuć wpadała w odpowiedni nastrój, przyczem oczy jej stawały się senne, rozmarzone, a twarz wniebowzięta.
Płocha dziewczyna stawała się sentymentalną, tkliwą, wrażliwą mimozą, skłonną do tkliwych wzruszeń i rozrzewniań się do łez.
Ale były to nastroje nietrwałe, byle co przeobrażało ją odrazu. Za lada powodem wybuchała pustym śmiechem, który, jak rozsypane paciorki, dzwonił po wodzie; i skacząc rozszalała z tłumionego za długo wesela, huśtała łódką, zanurzała po łokcie w łechtliwą falę różowe ręce, garściami chlustała na Janusza wodę, a gdy bryzgała mu rozprysnięte krople spływające po szyi i piersiach niby palące iskry, niby igły z mrozu, ~~ciekły~~ ciekły z dreszczem ~~dalej~~ głębiej...
Perłowy śmiech jej wówczas stawał się urywanym, spazmatycznym, wpadającym w nerwowe chichotanie.
Wyczerpana, przeginała się przez burtę, odrzucała w tył głowę i na wpół leżąc, wymawiała leniwie: „płyńmy dalej!”
Powoli posuwała się chwiejna łódź, a jeszcze wolniej poruszała się w niej

gęstniejącą krew, kołysały bezkształtne, rozmarzone myśli i bujne piersi, słodką rozkoszą już senne...
Pod ten czas Klara właśnie zwlokła się z góry i leżała jak dawniej w ogrodzie.
Rozdzierająca jej rana, że Janusz jej nie poznał, zaogniła się z powodu jego ustawicznego obcowania z Martą.
Jak daleko zaszły ich stosunki nie wiedziała, ale samo przypuszczenie, że tamta może posiąść kwiat miłości, który ~~tamta~~ niejako odchuchała w więzieniu, rozkrzewiła krwią własnego serca - stało się dla niej torturą.
Gdyby ta miłość dla niej zginęła, uschła, potrafiłaby łatwiej przeboleć stratę, ale świadomość, że źródło to bije, jak biło, lecz zmieniło kierunek, wtrącało ją w gorejące czeluści męki.
Była zbyt dumną, by teraz wyznać, kim jest.
[illegible] u niej straszny, że nie zrobiła tego od razu gdy się zjawił, opuściła chwilę, która mogła zdecydować o szczęściu, spóźniła się o sekundę i straciła wszystko.
Z przed oczu jej został zabrany, z rozszerzających się objęć wydarty - nie! stokroć gorzej: tęsknota ku niej pchnęła go w inne ramiona, w tym tkwiło największe okrucieństwo, to straszne szyderstwo losu, które nie tylko krzywdzi, boli, ale poniża.
- Po com go rozkochała?! By się stać swatką, rajfurką? - pytała z rozpaczą.
A gdy Marta jej się zwierzyła, dlaczego nosi stale warkocze, dlaczego nauczyła się stukać, rozpętały się w niej najzjadliwsze cierpienia, jakby roje os obsiadły wnętrzności.
Zrozumiała, że staje się dla nich pod-

niecodziennym środkiem, że służy za kulisy, za powabne tło do romantycznych scen, że z miłości jej zrobili sobie suflera.
Zdawało się jej, że on odbywał z nią wtedy tylko próby, by na serjo wystąpić z inną. Czuła się zdegradowaną do roli niemej klawiatury, na której się wprawiał, by dać koncert z Martą.
Wstrząsającym wzdrażnieniem nietylko ją, ale i jego zaczynała nienawidzieć
W stosunku do obojga przybrała ton odpychający, niemal wzgardliwy.
Gdy przychodzili do niej i próbowali zawiązać rozmowę, zbywała zapytania krótkimi urywkami zdań, a wychudła jej twarz przybierała wyraz srogi; usta zaciskały się w grymas zawzięty, a w zagasłych oczach zaczynały migać martwe, zimne światła, jak połyski księżyca.
- Ciężko chorzy ludzie, stają się często źli - objaśniał Janusz Marcie stan nerwów Klary, bo i źle jej jest bardzo - dodawał i robiło mu się żal tej młodej, leżącej samotnie po całych dniach dziewczyny.
To też nierażony chłodnym przyjęciem, zjawił się kiedyś sam. Trafił na względnie pomyślną chwilę, kiedy serce jest tak dalece zmordowane nieustanną boleścią, że nie może już dłużej cierpieć i wypoczywa krwawem otchłaniach bezdennego smutku.
Leżała wyzuta z sił, z twarzą bladą, jak opłatek z umierająco - zapatrzonemi w dal oczyma...
Zwieszającą się z leżaka białą, przezroczystą ręką dotykała smukłymi palcami kępki wyzierających z trawy margerytek
Janusz, myśląc, że sprawi jej radość, zerwał wszystkie i posypał ją drobnymi kwiatkami.
Klara wstrząsnęła się i obróciła ku niemu

zlękłe, wylękłe źrenice.

- Pani chłodno - wymówił, podniósł leżący obok cienki szal i począł ją otulać troskliwie - o tak! - owinąwszy nogi - będzie lepiej - ~~poprawił~~ pod głową zsunięte poduszki i zgarnął jej włosy serdecznie, pieczliwie.

A w niej jakby pękły naraz wszystkie nabrzmiałe bólem wrzody, przygasły palenia zaognionych ran. Zasłoniła się szybko mokrym wachlarzem, by ukryć napływające zewsząd łzy, ale niepodobna było ich nie widzieć; widziałem jak grochy płynęły jedna za drugą naukos przez policzki, ściekające na szyję, cicho szlochały szarpane łkaniem piersi, drgotały spazmatycznie jak gałązki na wietrze skup- ogce.

- Nie trzeba płakać, panno Alu! nie trzeba - przekładał ciepło wzruszony Janusz - wszystko się wygoi, wyleczy, minie - będzie dobrze, zobaczy pani, tylko się krzepko trzymać, przegnać złe myśli, patrzeć w przyszłość z otuchą... Widziałem ja niedawne stany, a jednak wyprzekręcili się z tarapat ludzie. Człowiek jest mocny - zdaje się, że już ledwie zipie, ale nie, wytrzymał, taka to jest twarda sztuka ów „homo sapiens!"... Spotykałem na etapach szkieletyw łachmanach i ranach, a dochodzili na miejsce i żyli: skrzypiące koło nieraz najdłużej się toczy...

A widząc, jak płacz jej się powoli uśmierza, począł opowiadać o tych krzyżowych drogach, o swoich własnych i moralnych i fizycznych dolegliwościach, o życiu życia na dalekiej północy, o samotności i tęsknotach, przyczem nadmieniał jak go ratowało i krzepiło w najgorszych godzinach wspomnienie o serdecznym

wzruszeniu nieznanej nawet osoby, a jakkolwiek wyrażał się o tej sprawie ogólnikowo i mętnie, Klara wiedziała jasno, o czym mówi i poczuła, że jej miłość dźwigała go w dniach twardych, ocaliła i wróciła życiu, jak cudowny balsam kładło się na rany i zatapiało zgryzoty duszy...

Nadeszła Marta, usiadła obok, ale zjawienie się jej nie wpłynęło zupełnie na tok słów Janusza.

...– pod obronę jej cudownego obrazu – uciekałem się – ciągnął – i odzyskiwałem siły, tak panno Klaro – nie pomogą mikstury, jeśli ich nie poprze wola, wiara i nadzieja, że wszystko skończy się pomyślnie. Pani się wprost sama truje, ale my nie damy dłużej się zamartwiać, prawda, panno Marto!

– Naturalnie – odpowiedziała Marta.

A Klara potrząsnęła smutno jasną głową i uśmiechając się przez łzy do Janusza, rzekła:

Pan umie dawać prześliczne recepty dla duszy, ale cóż robić, jeśli celka, w której się to „dziwo" mieści, sypie się w gruzy.

– Damy sobie radę: zamurujemy na dobre choćby gwałtem i kwita! wymówił żartobliwie.

– O! – zaprzeczyła w tym samym tonie: – to wbrew zasadom – więzić siłą!

– Dla dobra, a zresztą analogja jest pozorną.

A ona zamyśliła się i powiedziała po pauzie:

– Kto wie, czy ciała nasze nie są to celki, w których każdy z nas siedzi wyodrębniony od reszty ludzi!..

– Cóż znowu – wtrąciła Marta.

– A jednak jest w tym coś z prawdy – zauważył Janusz i popatrzył pilniej w twarz Klary, zaciekawiony pozorem jej ~~zie-~~ ~~lodzie~~ ludzkich, misternie [illegible] rysów.

szczególniej interesującym wydało mu się jej czyste, nisko sklepione czoło i daleko patrzące żałośnie i jakby trochę skryte fijołkowe oczy.

Ta rozmowa wywarła silny wpływ na dalszy układ ich stosunków.

W ciągłym obcowaniu z Klarą ucichły miłosne igraszki Janusza z Martą, przeobrażając się w głębsze, kształtujące się tajemnie w mrokach instynktów uczucie.

Współdziałała temu w znacznym stopniu Klara, która stała się orędowniczką ich kochania, Łączyła ich zawczasu w parę, czyniąc to nieraz wprost z sakramentalną powagą kapłanki.

Beznadziejny stan choroby, zbliżającej ją do grobu, nadawał chwilami jej zwrotom mowy ów majestatyczny ton, jaki zapanowuje w obliczu śmierci.

Gasła łagodnie, jakby nie umierała, lecz zachodziła podobnie do zorzy wieczornej o wczesnej porze wiosny, co niewiadomo jak niknie, roztapiając się nieznacznie w zmierzch i noc.

Stawała się z dniem każdym bardziej przejrzystą, a jednocześnie zarówno dla Marty jak Janusza coraz łaskawszą, coraz im bliższą i coraz więcej samą szczęśliwą.

Czuła, jak odzyskuje stopniowo jego serce w nowej, pozbawionej wszelkiego zmysłowego pierwiastku postaci, jak spadające z ciała wchodzi z nim w jakiś pozafizyczny stosunek i była serdecznie wdzięczną Marcie, że zabrała sobie jego namiętności, pozostawiając jej czystą treść duszy.

I rzeczywiście tak było.

Inteligencję Janusza silniej pociągała ciekawa, niezwykle rewelacyjna natura Klary, niż błyskotliwa w zręczności

umysłowości Marty.
Pierwsza wzniecała w nim chęć, aby ją całkowicie pojąć – druga, by objąć w ramiona i posiąść.
Gdy był z Klarą, doznawał czasem niezwykłych wzruszeń, jakgdyby patrzał na cudowne nieziemskie zwierciadło; obcowanie z nią potęgowało zdolność poznania, rozszerzało horyzonty widzenia.
Gdy znalazł się sam na sam z Martą, szczupły zasób pieszczotliwych słów cisnął mu się na usta, myśli zamierały w słodkich zakłóceniach krwi, wzrok się zwężał niejako do obrazu jej ciała, którego krasa zachłanna zabierała oczy.
Wiedział dokładnie, że kocha i jest kochany, – toteż choć nie doszło między nimi do wyznań, nie raziło ich i nie dziwiło, że Klara uważa ich za narzeczonych.
Nurtująca ich namiętność wzrastała się niejako w każdym oddzielnie, nie szukając spajającego w jeden płomień wyrazu.
Wielką dyskrecję w tym kierunku paraliżowała żywa troska o chorą. Całkowity czas poświęcali pielęgnowaniu swego „biedactwa", które nie mogło wkrótce chodzić o własnych siłach i wnoszone przez Janka na rękach zległo na dobre w łóżku.
Po całych dniach to kolejno, to razem przesiadywali w jej pokoju, pilnując resztek kołaczącego się życia.
Jedynie noce przepędzała sama, a że spać nie mogła, czytała albo notowała ostatnie wrażenia w wyniesionym z więzienia dzienniku, lub odczytywała historię własnej miłości, i była do tego rada, że się tak wszystko pięknie i szczęśliwie zakończa.

61.

Śmierci się nie bała. Sprawa pozagrobowa przedstawiała jej się rozmaicie, czasem jako nicość, a czasem jakoby wyzwolenie z więzów ciała na wolną nieograniczoną ekspansję samej duszy, zdolnej do absolutnej bezpośredniej komunji z pokrewnemi ~~duszami~~ duchami, doskonałego przenikania się, współodczuwania najsubtelniejszych nastrojów, najlżejszych ruchów myśli, zniesienie wszelkich granic, usunięcie ostatniej materjalnej przegródki, która rozłącza ludzi i zmuszała do porozumiewania się za pomocą słów, mimiki, gestów, które się jej wydawały środkiem w wielu razach równie niedołężnym jak stukanie przez ścianę.

Inna myśl, że tak być może, cieszyła się tym przystępem spotkaniem z Januszem w wieczności. Znużona rozmyślaniami pogrążyła się w półuśpieniu, w którym otwierały się przed nią jakieś jasne wiosenne łąki, delikatne, pachnące, pełne liljowych kwiatów kielichy, srebrzyste ciche kryształowe jeziora, rozbłękitnione pustki, ginące w nieskończonej perspektywie, białe, lśniące szlaki, melancholijne gędźby melodji, nadlatujących z bezmiernej grającej smutnie dali. Doznawała wrażenia, że już się oderwała od ziemi i błądzi w innym, lunatycznym świecie, jako lotny duch.

Bardzo niechętnie budziła się z tych snów. Pomimo braku fizycznych cierpień, zaczynała ją nużyć powolność konania. To też kiedyś, gdy w nocy nastąpił silny krwotok, pozwoliła krwi płynąć swobodnie i dopiero nad ranem, by uśmierzyć palenie w gardle, poprosiła służącą o lód.

Gdy zaalarmowani Janusz i Marta
weszli zastali ją silnie zmienioną.
W kryształowych, złocistych, zbuntowanych
włosach leżały jak zwiędłe płatki lilji
białe policzki, pąk ust kwitł jeszcze, a
zbiegłe w oczy życie nadawało niezwyczaj-
ną jasność rozszerzonym tęczówkom.
Powitała ich przejrzystym, światłem tych
oczu i winowajczym uśmiechem dziecka,
które coś spsociło.
-Jakże można było - zaczął Janusz
-Nie gderać!
-Niewolno mówić! - przerwał
-Kiedy trzeba... mam pewne polecenia...
-To proszę pisać - przysunął papier
Klara wzięła podany ołówek, trzymała
chwilę i nagle przypomniała sobie, że
zna jej pismo. Ręka drgnęła, ołówek
potoczył się po podłodze...
-Nie trzeba - wymówiła pospiesznie, gdy
Janusz chciał go podnieść - wolę stukać
I wychudłe alabastrowe palce jęły wprawnie
kołatać po blacie stolika:
-Zajmijcie się... w komodzie na prawo to-
rebka ze ~~400~~ czterystu lirami - powinno
wystarczyć... jak najskromniej... Gdyby
co pozostało oddajcie naszym ludziom...
bliższych nie mam...
I jeszcze jedno - zaczęła po pauzie wy-
pukiwać - włóżcie mi to do trumny -
wręczyła Januszowi zaklejony w kopercie
odłupany na pamiątkę kawał tynku
więziennej ściany, który już zdążył
się rozkruszyć na miał i drobne grudki.
-Jesteście dobrzy dla mnie, niech wam
dobrze będzie - wymówiła zagasłym
głosem, i oczy jej się przyćmiły.

Janusz, któremu w takt jej słuchania rozdygotało się serce, wyszedł, by ukryć wzruszenie i korzystając z tego Klara zwróciła się do Marty i rzekła:
- Bardzo go kochasz?
- Tak! - ~~drgała głucho~~ zabrzmiała głucho przez ściśnięte spazmem gardło odpowiedź.
- To pamiętaj, obchodź się z nim ostrożnie, bo to delikatny instrument!
Gdy Janusz wrócił, wzrok się jej znowu wyjaśnił.
Patrzyła to na niego, to na Martę, wahając się: dać czy nie dać? ale przemogło pragnienie przypomnienia się ~~(im)~~ kiedyś raz jeszcze.
- Właściwie - zaczęła
- Proszę nie mówić! - przerwał Janusz
Więc ~~znowu~~ znowu słuchała:
- Należy wam się odemnie ślubny prezent.
Kosztowności nie mam, więc przyjmijcie odemnie rzecz dla mnie najdroższą -
wydostała z szufladki starannie zawinięty w papier i obwiązany kilkakrotnie tasiemką zeszyt - rozwiążcie to i przeczytajcie!... ale po latach... -
dodała głosem.
Spokoju zapanowało na chwilę czas uroczyste milczenie.
Wymownej jej oczy jęły zwolna mierzchnąć i jakby zachodzić mgłą, zasłoniły je najpierw długie rzęsy, potem powieki...
Z zamkniętymi oczyma leżała blada, nieruchoma i jedynie podnoszące się na piersiach rąbki koszuli świadczyły że żyje.
- Śpi - szepnęła Marta.
- To dobrze, sen pokrzepia - odparł Janusz i cicho ~~..........~~ doledy.

W pokoju zapanował mrok. W cieniach łóżka widniała biała, drobna jej twarz i unoszące się pod bielizną piersi...

Skrzypnęły drzwi, wsunęła się głowa gospodyni, która rozpaczliwymi gestami wywołała ich na korytarz. Gdy wyszli, zaczęła gorąco przekładać, że chorą należy koniecznie przenieść do sanatorjum. Z potoku jej słów Janusz zrozumiał, że pragnie się Klary pozbyć gwałtownie. Długo się sprzeciwiał, aż wreszcie uległ namowom i udał się zasięgnąć w tej kwestji rady lekarza.

Doktór, który znał dokładnie stan swej pacjentki, wytłumaczył, że przenosiny są bezcelowe, że zresztą zejdzie przed wieczorem.

Gdy Janusz wrócił, dowiedział się, że Klara śpi jeszcze i nie należy jej niepokoić.

~~Gdy~~ Kiedy po paru godzinach zajrzał, zobaczył, że leży, jak ją zostawił, na wznak, ale w trochę nienaturalnej pozycji: z głową wykręconą do ściany i zwieszającą się bezwładnie z krawędzi łóżka, białą jak ~~alabaster~~ marmur ręką.

- Nie żyje - zaszeptało mu trwożnie pod czaszką. Dotknął dłoni, była zimna, zajrzał w twarz i zobaczył na wpół otwarte oczy z zastygłą między rzęsami łzą, i ten pogodny, zamknięty w sobie, cichy lecz chłodny, zagadkowy i obcy dla żywych półuśmiech, jaki miewają spokojni umarli.

- No tak! - po dłuższej pauzie przemknęła w głowie myśl, niby ostateczny wniosek całego szeregu mętnych dociekań.

Podniósł troskliwie i ułożył wzdłuż ciała opuszczoną rękę, następnie

wsunął rolety, otworzył nawrzeciąż okna i drzwi balkonu, machinalnie zabierając się odrazu do wszystkich drobnych czynności związanych ze sprawą pogrzebu.
Było ich niemało. Janusz nie żałował fatygi i języka, by urządzić wszystko jak należy i nie dać się przytem oszukać.
Jakoś udało mu się pomimo stosunkowo nieznacznych funduszów zakupić miejsce i murowany grób.
Wyprowadzenie zwłok, przez wzgląd na spokój kuracjuszy, odbyło się jak zwykle w sekrecie i o dnia.
Czterech tragarzy wyniosło na noszach przykrytą czarnym suknem trumnę.
Musiało im nie być ciężko, bo szli się prędko pod górę do Gardony Sopra, gdzie leżał parafjalny cmentarz.
Naprzodzie ktoś świecił latarką, z tyłu postępował Janusz i Marta.
Dogasały już gwiazdy i robiło się biało, gdy szczupły kondukt znalazł się w obrębie pełnego białych kamiennych krzyżyków i kilku pięknych pomników schludnie utrzymanego „campo santo".
Stary ksiądz w wytartej sutannie wymruczał pospiesznie obrzędowe modlitwy i pokropił obficie zwłoki i zebranych.
Zadygotała krótko na pół śpiącej sygnaturka, a potem na primarję odezwały się dzwony okolicznych kościołków; zakołysały się jakgdyby przeciągłe jęki nad ziemią, rozchodziły się melodyjnie po jeziorze, roztrącały żałośnie na skałach, a gdy umilkły, błądziły

dźwięczne
jeszcze dalekie echo, jakby na cytrach granie...
Zakołysała spuszczona na pasach trumna, gdy Wach w bandyckim kapeluszu i zielonym fartuchu począł zamurowywać sklepienie, chwytał cegłę po cegle, dopasowywał młotkiem, cementował kielnią, a słysząc kołatanie tych narzędzi Janusz doznawał wrażenia, że grób wystukuje jakieś nieznane, tajemnicze słowa.
Pierwsze grudki przyjętym zwyczajem rzucone rozstały ręką, następnie żywo poczęły pracować łopaty.
Ostry chrzęst sypiącego się żwiru wywołał w sercu Janusza szorstki ból, a zlewające się stękanie ziemi przypominające uczucie smutku.
Ale zaledwie została skończona mogiła, dopominanie się o napiwki, sprzeczki o zapłatę zmiszczyły ten nastrój.
Rozdrażniony targami, zmęczony całodzienną krzątaniną i niedospaną nocą, podawszy rękę Marcie, Janusz począł z milczeniu zstępować na dół.
Było już prawie widno, wzniosły się śniegi na Monte Baldo, a w przejrzystym powietrzu rysowały się wyraźnie wszystkie załomy gór, skały i urwiska; w oddali niby wieżyce gotyckiego tumu, czerniały grupy strzelistych cyprysów.
Omglone jezioro zdawało się spać jeszcze, a przyparte do brzegu żagle barek - śnić.
Pusto było, bezludnie i niezmiernie cicho.
Zdenerwowana przejściami ostatnich dni Marta tuliła się lękliwie do

17.

ramienia Janusza, drżąc lekko, jak z chłodu.

On widział delikatny puszek jej policzków, chwiejący nad małą, różową konchą ucha wyplątany złoty lok i kryjący się w długich rzęsach nieco wilgotny błękit oka.

– Spocznijmy, Marlo – rzekł po raz pierwszy zwyczajnie po imieniu.

Usiedli na ławce.

– Jaki żal – szepnęła i w źrenicach jej błysnęły łzy.

Rozrzewniony przygarnął jej głowę do serca i począł głaskać po jedwabistych włosach – ~~nie p~~

– Nie płacz – pocałował w wilgotne oczy, a potem w słodko-rozchylone usta raz jeden i drugi i bez liku do utraty pamięci, tchu.

Objął ją, a ona opasała go splotami rąk i poczęła oddawać pocałunki, drgać, prężyć w ramionach i powtarzać zdyszanym szeptem: – mój, mój...

– Moja – zamknął wargi w wycięciu sukni i niewiadomo za czyją sprawą rozpięły się zatrzaski stanika, obnażając całkowicie opaloną ciemnozłocistą płeć szyi i biało-różowe wezbrane namiętnością dziewicze jędrne piersi...

Zniknęło z oczu wszystko: widność świata i ślepota śmierci, wstępujące w niebo płomienne słońce i szary ciemny grób...

Silniejsza niż wzburzenie żywiołów – pożar – wicher – powódź – trzęsienie ziemi – elementarna potęga związała ich rozkoszy uściskiem i poniosła w krwawy szał:

d. c. n. ~~[illegible]~~